GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 PAŹDZIERNIKA 1932

NR. 20 ROK II

CENA NUMERU 90 GR. PRENUMERATA KWARTALNA ZŁ. 4.50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 20
15—X
1932 R.

DWA TYGODNIE

NIE TEORJA LECZ PRAKTYKA.

Śledząc dyskusję w prasie i rozmowy sfer gospodarczych z Rządem na temat t. zw. sztywnych cen kartelowych, „Gospodarka Narodowa" jest w tem dogodnem położeniu, iż jej stanowisko, które zajmowała od początku r. b., staje się stopniową platformą większości dyskutujących. Przypominamy, że nasz punkt widzenia zapoczątkowaliśmy artykułem prof. F. Lipińskiego („Walka z kryzysem a zniżka cen" — Nr. 2), w którym między innemi czytamy: „Obniżenie cen artykułów zmonopolizowanych lub wogóle cen, które nie obniżają się w przebiegu kryzysu gospodarczego, jest poprostu najpierwszą koniecznością gospodarczą w walce z kryzysem". Albowiem „istnieje w gospodarstwie społecznem zapotrzebowanie, które nie będzie zaspokojone przy cenach wysokich, natomiast wywoła zwiększony popyt przy cenach niskich".

W uwadze „Państwo wobec karteli" (Nr. 5) pismo nasze stanęło na stanowisku, że na pytanie: czy konieczna jest i pilna ingerencja Państwa w dziedzinie cen towarów skartelizowanych? — odpowiedź może być tylko twierdząca, skoro „w dziedzinie cen polityka większości naszych karteli jest nad wszelką wątpliwość krótkowzroczna, nie liczy się ani z punktem Cournot'a, ani z przesuwaniem się tego punktu w zależności od konjunktury, ani tem mniej z potrzebami i możliwościami ogółu".

Tę naszą opinję potwierdziliśmy następnie uwagą „Czekamy na ciąg dalszy" (Nr. 10), gdzie daliśmy wyraz przekonaniu, że nie uda się jednym grupom gospodarczym uniknąć przykrych konskwencyj kryzysu, które dotykają inne grupy (zniżka cen). Wypowiedzieliśmy również pogląd, że w interesie wszystkich grup i każdej z osobna leży jak najszybsze i równomierne zejście z wyższego poziomu cen do niższego. W obniżce cen żelaza i wódki (maj r. b.) widzieliśmy dopiero początek niezbędnej polityki, wskazaliśmy, gdzie zkolei należy zabrać się do obniżek, uwagą zaś „Granice możliwego obniżenia ceny cukru" (Nr. 6) udowodniliśmy, w jaki sposób i w jakich rozmiarach możnaby to obniżenie zrealizować.

Nakoniec przypominamy „Zasadnicze punkty" (Nr. 12 — „Dwa tygodnie"), gdzie podkreśliliśmy, iż rząd jako punkt wyjścia interwencjonizmu przyjął „fakty dokonane" w zakresie cen wolnych i że do tych faktów dopasować zamierza „w sposób ewolucyjny i przy czynnem współdziałaniu samego społeczeństwa i jego organizacyj zwichnięty przez deflację układ sił".

Przytoczyliśmy ten szereg cytat z naszego dwutygodnika po to, aby wskazać, że wypadki potoczyły się po wskazanych przez nas drogach i że uwypuklone tam momenty stały się głównymi punktami toczącej się obecnie dyskusji. Niezależnie od tych momentów pragniemy również zwrócić uwagę na szereg innych okoliczności, przemawiających za dalszą rewizją cen sztywnych.

Sztywność większości cen kartelowych jest wynikiem błędnej polityki karteli, którym się wydaje, że tylko one prowadzą racjonalną gospodarkę, mającą jakoby polegać na ratowaniu kosztów stałych wysokiemi cenami. Koszty stałe grają ogromną rolę w kalkulacji nietylko przemysłu skartelizowanego, ale wogóle każdego przemysłu. Jeżeli obniżyły — i to bardzo wydatnie — swe ceny cegielnie i wapienniki, to naraziły się na te same niebezpieczeństwa, któremi zasłaniają się cementownie, dowodząc, że zniżka cen cementu jest niemożliwa, szkodliwa, ryzykowna i t. p. Zresztą konsumcja zareagowała w sposób nie budzący żadnych wątpliwości: popyt na wapno i cegłę się zwiększa, na cement — maleje.

Obrońcy utrzymania cen obecnych w kartelach twierdzą, że zniżka tych cen w minimalnym stopniu odbije się na kosztach własnych producentów rolnych. Twierdzenie to nie jest słuszne, gdyż 1-o rolnicy, jako producenci, korzystają w dużym stopniu z artykułów skartelizowanych, branych jako całość, a 2-o rolnicy są przecież nietylko producentami, lecz i konsumentami, a więc tembardziej powszechna zniżka wszelkich cen sztywnych odbije się dużem echem wśród rolnictwa.

Pozostaje jeszcze kwestja dumpingu i stanu zatrudnienia. Pozwolimy sobie wobec tego zauważyć, że z jednej strony eksport, oparty jedynie i stale na dumpingu, nie jest eksportem, z drugiej zaś — rynek krajowy, który zwiększy swe zapotrzebowanie pod wpływem zniżki cen, wpłynie również na utrzymanie, a kto wie, czy i nie zwiększenie produkcji.

Dyskusja, tocząca się na temat obniżki cen sztywnych, wykazała, że zwolennikom „status quo" zapewne pod wpływem oczywistych faktów, zarówno w zakresie obniżki cen i kosztów własnych w monopolach państwowych, jak i w dziedzinie popytu na artykuły wolnego rynku — chodzi już tylko o udowodnienie, że przecież kartele są koniecznością gospodarczą i że wobec tego nie należy ich niszczyć. Jest to pogląd w znacznym stopniu oparty o momenty — że tak powiemy — uczuciowe, mimo to słuszny. Ale nie o to wszakże chodzi: punkt ciężkości leży w przystosowaniu się karteli do zupełnie nowych, zupełnie odmiennych warunków. Zdolność dopasowania się decydować będzie o życiowej wartości karteli. Nie o teorji mówmy, lecz o — praktyce.

I jeszcze jedna uwaga „na stronie": akcja zniżki cen kartelowych powinna być zakończona w jaknajkrótszym czasie. Ponieważ z dwuch alternatyw, wynikających z zasady: „Działać szybko — albo wcale!" druga jest wykluczona (jest już zapóźno!), doniosłość alternatywy pierwszej rozumie się sama przez się.

ALEKSANDER K. IVANKA

UPADEK KAPITALIZMU?

Zagadnienie upadku kapitalizmu pojętego w sensie ustroju społecznego nie istnieje jako zagadnienie ekonomiczne. Problem przebudowy ustroju jest znacznie głębszy aniżeli procesy gospodarcze. Najważniejszem zadaniem ekonomistów w chwili obecnej są prace nad konstruowaniem programu statycznego.

Kryzys obecny wywołał nastrój sceptycyzmu co do racjonalności budowy i działania obecnego ustroju gospodarczego, rozległy się dość liczne głosy wróżące lub stwierdzające „upadek kapitalizmu". Teza, iż „kapitalizm się kończy" nie jest oczywiście nową. By nie sięgać do znanych, klasycznych dzieł na ten temat, wspomnę tylko popularną swego czasu na kontynencie europejskim broszurę Argona pt. Kryzys gospodarki kapitalistycznej. W broszurze tej wydanej w 1921 r. autor przepowiadał głębokie przesilenie w gospodarstwie światowem, a jako ortodoksyjny marxista kończył tezą zmiany ustroju społecznego Europy. Dziś jednak rozlegają się głosy bynajmniej nie marxistów, którzy jednak wróżą lub stwierdzają upadek kapitalizmu oraz wysnuwają własne koncepcje przebudowy ustroju. Ta nowa warstwa sceptyków i krytyków ustroju kapitalistycznego to jest pewne novum obecnej chwili historycznej. Kim jest ta warstwa?

Jest to warstwa inteligencji zawodowej. Spauperyzowana przez wojnę i inflację, biedująca z powodu nadmiaru podaży na rynku pracy, boleśnie odczuwająca kryzys indywidualizmu, warstwa ta nastroiła się emocjonalnie przeciwko współczesnym warunkom i myśli a może marzy o innym ustroju, w którym psychicznie mogłaby czuć się lepiej. To jest podłoże emocjonalne dla snucia koncepcyj o przebudowie społecznej, nowych formach organizacji wytwórczości, to podłoże emocjonalne jest również źródłem krytyki obecnego ustroju.

Jakież są owe argumenty krytyczne?

Do teorji ekonomji wnoszą one niewiele, gros ich jest wzięta z marxizmu natomiast współczesny kryzys dostarczył nowych argumentów faktycznych względnie jaskrawszych od znanych poprzednio. Tak np. wielokrotnie podnoszono jako symptom nonsensowności obecnego ustroju fakt, iż w Kanadzie palą zboże, a w Chinach ludzie głodują. Ta cytata przypomnieć musi historję z przed stu laty, gdy w czasie braku żywności w Marsylji zawitał okręt z ryżem lecz ze względu na wyśrubowanie cen ładunek ryżu zatopiono, fakt, który zaważył na życiu Karola Fourier tworząc zeń socjalistę utopijnego.

Jeżeli zgrupujemy argumenty krytyczne przeciwko obecnemu ustrojowi, to okaże się, iż zarzuca się:

a) bezplanowość w przebiegu zjawisk gospodarczych,

b) egoizm podmiotów gospodarujących,

c) wadliwy podział dochodu społecznego.

Zarzut bezplanowości, zarzut stary i słuszny, spotyka się z kontratakiem ze strony ekonomistów liberalnych, iż właśnie w obecnym ustroju planowanie doraźne na poszczególnych odcinkach życia gospodarczego wytworzyło jeszcze większą bezplanowość, co też jest słuszne. Jest w chwili obecnej szydercza sytuacja, iż w sporze o planowość rację mają obie wzajemnie oskarżające się strony. Rozwiązanie leży w płaszczyźnie stworzenia metodyki planowania, co jednak jeszcze nie nastąpiło. Ale zadajmy sobie pytanie, czy zarzut ten jest istotnie zarzutem przeciwko ustrojowi kapitalistycznemu? Popularna definicja głosi, iż ustrój kapitalistyczny jest to ustrój gos-

podarczy, w którym produkcja jest obliczana na zysk a środki produkcji stanowią własność prywatną. Tak powszechnie rozumiany jest ustrój kapitalistyczny. Tymczasem zarzut bezplanowości odnosi się raczej do gospodarstwa towarowo - pieniężnego, opartego na wolnej konkurencji, co jest tylko pewną formą ustroju kapitalistycznego. Nie jest słusznem brać pars pro toto.

Nieinaczej przedstawia się sprawa z drugim argumentem krytycznym — egoizmu podmiotów gospodarujących. Chodzi tu przedewszystkiem o egoizm narodowy państw, będący dziś głównem zakłóceniem międzynarodowego obrotu towarów, kapitałów i ludzi. Ale czyż jest to cecha związana ściśle z ustrojem kapitalistycznym? Czy nie możemy przedstawić sobie Europy składającej się np. z państw komunistycznych wzajemnie skłóconych i odgradzających się nietylko murami celnemi, ale monopolem handlu zagranicznego, obrót kapitałami teżby nie istniał no bo zresztą kapitałów by nie było.

Najpoważniejszym jest argument wadliwego podziału dochodu społecznego. Wedle tej koncepcji co raz większy odsetek dochodu społecznego idzie na kapitał (oprocentowanie i amortyzacja), a coraz mniejszy na pracę. W ten sposób siła nabywcza mas na rynku maleje nie będąc w stanie zakupić wytworzonych produktów, co powoduje gromadzenie się towaru i kryzys. Mam wrażenie jednak, że forsowanie mechanizacji produkcji w Rosji jest niczem innem jak przelewaniem dochodu społecznego na rzecz kapitalizacji. Można wszak mówić o polityce nierentowności warsztatów, tak, ale wątpliwe czy można politykę tę na dłuższą metę stosować. Bowiem przy polityce nierentowności warsztatów amortyzacja i tworzenie kapitałów obrotowych odbywać się będzie musiało ze środków publicznych, t. zn. z podatków. A w takim razie — w ustroju gospodarki związanej — planowej — czyż nie wyjdzie na jedno: ceny towarów obliczone bez zysku przy wyższych podatkach w porównaniu z dzisiejszą zasadą ceny zawierają zysk i amortyzację, a nie dokonywuje się renowacji warsztatów z pieniędzy publicznych. I w jednym i w drugim wypadku kształtowanie się podziału dochodu społecznego będzie podobne.

Nie mam wrażenia jednak by z tego zestawienia argumentów i kontrargumentów (nawet przy ich dalekiem rozwinięciu) mógł kapitalizm wyjść obroniony, podobnie jak w nieinnej sytuacji znalazłby się ustrój komunistyczny. Istotą bowiem jest to, że procesy te jako procesy ekonomiczne są wspólne każdemu gospodarstwu społecznemu towarowo - pieniężnemu opartemu na podziale pracy niezależnie od jego treści społecznej i formy politycznej. I niepotrzebnie a nawet wręcz szkodliwie dla zagadnienia programu gospodarczego wysunięty został na pierwszy plan dyskusji problem zmiany ustroju społecznego. Powstało to zjawisko, jak zaznaczyłem poprzednio na podłożu emocjonalnem. Niepotrzebnie jednak ekonomiści zajmowali się tą kwestją, główne bowiem zadanie ekonomistów dotyczyć musi analizy i racjonalizacji samych procesów ekonomicznych, dla dyskusji nad zagadnieniem ustroju nie wolno ekonomistom zaniedbywać tworzenia programu statycznego.

Problem ustroju?

Oczywiście jest on nadal aktualny. Ale nowych rozwiązań nie należy szukać w płaszczyźnie zjawisk gospodarczych, głos tu mieć musi socjologja. Problem ustroju to nie jest problem zmiany struktury gospodarczej, treść środowiska społecznego tworzy się naskutek znacznie większej ilości skomplikowanych przyczyn, aniżeli li tylko warunki gospodarcze.

Przestańmy koncentrować uwagę na kwestjach ustrojowych, wszak tak wiele jest do zrobienia w dziedzinie programu statycznego.

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

CZY ZACZYNA BYĆ LEPIEJ?

Zaczynają się powoli wytwarzać objektywne warunki poprawy gospodarczej na świecie. Aby jednak mogły one dać rezultat, trzeba bardzo silnego nacisku innych okoliczności — specjalnie poza-gospodarczej natury.

Czy zaczyna być lepiej? Myślimy, oczywiście, o skali światowej—nie o kryzysie polskim, posiadającym specyficzne swe cechy, zależne jak dobrze wiemy, od względnie niewielu okoliczności objektywnych, a których zmiany jednak nie należy się jak się zdaje, spodziewać w czasie najbliższym. Ale — czy zaczyna być lepiej wogóle? Od czasu do czasu mamy tego rodzaju prasowe porywy optymizmu, które zmęczonemu ciału i wyblakłej duszy „człowieka z ulicy" dodają jakby nieco narkozy optymistycznej. Prasa w tym wypadku doskonale wie, co robi, ale też — z objektywnego punktu widzenia — anegdota o rosyjskim żandarmie i pomniku Gutenberga miałaby tutaj niejakie zastosowanie. Rozpowszechniając nacechowane optymizmem wiadomości, gazety codzienne z konieczności nie mogą jednocześnie zwracać uwagi swym czytelnikom, że poprawa w tej czy innej gałęzi produkcji państwa X, albo zwyżka giełdowa w takiem czy innem mieście państwa Y. nie stanowi jeszcze bynajmniej o fakcie, jakobyśmy mieli przejść już ostatecznie tylekroć ogłaszane „dno kryzysu". Zapomina się zazwyczaj o jednem, iż ważną różnicą pomiędzy obecną depresją a normalnemi depresjami, przeżywanemi przez ludzkość, jest m. in. to, iż obecny kataklizm zawikłał tak niebywale tak znaczną ilość problematów, że nawet, gdyby powstały już obecnie warunki dla ich rozplątywania, należałoby postawić sobie pytanie, od której, mianowicie, strony należałoby zacząć? Niewątpliwie to mieli na myśli inicjatorzy światowej konferencji gospodarczej (przewidzianej, jak wiadomo, na początek roku przyszłego), kiedy powierzyli pracę przygotowawczą do niej dwudziestokilkuosobowej komisji rzeczoznawców. Bo rozeznanie się w obecnym labiryncie gospodarczych trudności międzynarodowych bynajmniej nie należy do rzeczy łatwych.

Czy jednak naprawdę wkraczamy w okres, który

znamionują objektywne warunki poprawy sytuacji? Pod tym względem zachodnia Europa pozostawała ostatnio przez czas pewien pod urokiem „haussy“ na giełdzie w New Yorku. Ale wkrótce okazało się, że w skokach kursów giełdowych za oceanem trudno dopatrzyć się jakiejś ogólnej linji poprawy gospodarczej i że właściwie decydują o nich — wybory prezydenckie w Stanach. Niemniej jednak tu i owdzie w Stanach Zjednoczonych daje się rzeczywiście stwierdzić pewna poprawa w niektórych (bardzo nielicznych zresztą) gałęziach przemysłu, na czem jednak zbyt wielkich nadziei budować nie sposób. Jeśli chodzi o Europę, to daje się niewątpliwie zauważyć coś w rodzaju stabilizacji stosunków kryzysowych we Francji, Wielkiej Brytanji, Belgji i Holandji. O poprawie, oczywiście, niema jeszcze co mówić, ale osłabnięcie ruchu wdół jest widoczne. O stosunkach w Niemczech trudno powiedzieć coś konkretniejszego poza tem, iż nie są lepsze niż były i że czekać dopiero należy skutków dekretów v. Papena, aby wydać sąd ostateczny. Co się tyczy Europy wschodniej, to — widzimy sami — iż położenie staje się coraz poważniejsze. W końcowej fazie depresji ta połać naszego kontynentu znajduje się już u kresu swych możliwości.

Jeśliby ktoś na podstawie dokładnej analizy krzywej konjunkturalnej w wymienionych powyżej państwach chciał postawić tezę o miejscu, w jakiem obecnie się znajdujemy na krzywej konjunktury światowej, to — wydaje nam się, — odniósłby wrażenie, że jednak zaczynają powstawać objektywne warunki poprawy. Jeśliby jednak poszedł nieco dalej i postawił sobie pytanie, kiedy z owych warunków rozpocznie się sama poprawa, popadłby niewątpliwie w zwątpienie. Albowiem przekonałby się z wszelką pewnością, iż z punktu widzenia gospodarczego na pytanie to odpowiedzieć wogóle nie sposób.

Nie mamy zamiaru wznawiać raz jeszcze na tem miejscu wykładu o znaczeniu „kryzysu zaufania“ dla terapji kryzysu gospodarczego. Ale podkreślić wypada raz jeszcze, iż, w samej rzeczy, znaczenie to jest wprost olbrzymie. Panikarstwo opanowało umysły ludzkie tak silnie, iż o jakiemkolwiek „organicznem“ uspokojeniu się drogą chociażby argumentów a contrario, że „przecież się nic katastrofalnego już od pewnego czasu nie dzieje“, poprostu mowy niema. Pogłoski o wojnie są może mniej często niż kilka miesięcy temu, ale zapadły kapitalistom wszystkich krajów bardzo głęboko w duszę. Bez dużych rozmiarów akcji uspokajającej nie znikną. A to stoi na przeszkodzie jakiejkolwiek międzynarodowej akcji w kierunku zwalczania kryzysu.

Czy aby akcja taka jest konieczna? W ostatnich czasach „antykonferencyjność“ szerokiej opinji europejskiej doszła już do zenitu. Narzekania na bezcelowość i drwiny z niemocy zjazdów międzynarodowych mnożą się coraz silniej. Jednocześnie jednak znękany europejczyk asystuje przy coraz to nowych próbach porozumienia. Rozumie się, że w rezultacie nastawia się w stosunku do wszystkich tych poczynań zgóry pogardliwie i nieufnie, nie orjentując się przedewszystkiem, jakie jest ich właściwe znaczenie na szachownicy polityki międzynarodowej. A, mimo wszystko, najgłębszem naszem przekonaniem jest, iż bez porozumienia się międzynarodowego w kilku zasadniczych przynajmniej kwestjach polityczno - gospodarczych mowy niema o przełamaniu moralnej strony kryzysu. Właśnie dlatego, że nieufność zapadła już tak głęboko w nastroje społeczeństw europejskich i że nie uda się jej usunąć samem niepowtarzaniem się dalszych nagłych wstrząsów, a tylko faktem *widomym*, porozumienie wzgl. porozumienia międzynarodowe stają się koniecznością. Nie idzie za tem, aby wyczerpywały one wszystkie drogi, wiodące do odbudowy zaufania. Można być np. pewnym, iż taka stabilizacja funta sterlinga de iure wywołałaby odrazu odprężenie—i to bardzo znaczne. Ale wydaje się nam, że same tylko autonomiczne pociągnięcie poszczególnych państw skutku nie odniosą.

Zagadnienie jakiegokolwiek porozumienia międzynarodowego celem rozpoczęcia terapji kryzysu na fundamentach pojawiających się już obecnie objektywnych warunków poprawy jest niesłychanie trudnym problemem do rozwiązania. Każde porozumienie wymaga od uczestników pewnych ofiar na rzecz wspólnego celu. Już to pierwsze jest w obecnym okresie niesłychanie trudne do uzyskania w opinji publicznej każdego kraju. Rządy są ową wstrzemięźliwością ogółu (tak zrozumiałą w chwilach kurczących się zasobów) silnie skrępowane. Stąd trudności jakiejkolwiek skoordynowanej akcji w dziedzinie celnej, fiasko pomocy finansowej dla państw, znajdujących się w szczególnie ciężkiem położeniu, wstrzymywanie się niektórych państw od angażowania się wogóle na jakiejś drodze, gdzie by jakiekolwiek (choćby nawet jeszcze nieokreślone) interesy ich miały ulec chwilowemu chociażby naruszeniu. Opinja publiczna (w państwach o demokracji parlamentarnej — bezpośrednio, w innych — pośrednio) utrudnia wszelkie porozumienie międzynarodowe spekulacją „na dziś“ bez uwzględniania ewentualnych korzyści ofiar doraźnych na rzecz trwałych zysków „pro futuro“. Poczem taż sama opinja dąsa się na „nieudające się“ konferencje międzynarodowe, które — pośrednio czy bezpośrednio — w znacznej mierze rozbiła sama.

Popełnialibyśmy jednak fatalny błąd, gdybyśmy chcieli trudności międzynarodowej akcji gospodarczej tłomaczyć wyłącznie wewnętrznym oporem społeczeństw (no — i obawą rządów przed pójściem w tak „ciężkich czasach“ przeciwko powszechnemu prądowi). Drugą bowiem przyczyną trudności owej akcji jest domena „czystej“ polityki. Zagadnienia politycznych „Machtfragen“, plączące się w rozgrywkach swych na terenie niby to gospodarczych poczynań, nadają tym ostatnim czasami zgoła żałosny wygląd. Niewygasły dotąd po wojnie światowej kocioł europejski uniemożliwia uzyskanie odpowiedniej temperatury, w której rozwinąćby się mógł zalążek porozumienia gospodarczego. I tutaj, wydaje się nam, dochodzimy do sedna sprawy.

Twierdzimy, mianowicie, iż nie do pomyślenia jest budowanie jakichkolwiek fundamentów pod przyszłe uspokojenie się gospodarcze świata, o ile grunt pod fundamenty te będzie — chociażby tylko moralnie — stale zagrożony. Mówiąc wyraźniej — o ile utrzymywać się będą w dzisiejszem napięciu projekty i hasła, tyczące się zmian w obecnem status quo politycznem Europy, i to w najszerszem pojęciu tego słowa. Nie zamierzamy tutaj przypisywać pogróżkom niemieckim w stosunku do naszych granic znaczenia światowej przeszkody w terapji gospodarczej (jakkolwiek, najbardziej objektywnie nawet biorąc, częstokroć by na miano takie zasługiwały), ale cho-

dzi nam o całokształt poczynań, próbujących zmienić *wogóle* ten stan rzeczy w dziedzinie politycznej, który opiera się na traktatach pokojowych. W naszym pojęciu zasadniczym błędem grzeszą na świecie ci, którzy przypisują niemożność uspokojenia się tego świata obecnemu status quo i żądają w wyniku tego zasadniczych w niem zmian. Wydaje się nam, iż nawet, stojąc całkowicie na gruncie przeciwtraktatowym, nie godząc się z obecnym stanem rzeczy uważając go za szkodliwy, w interesie ogólnym należałoby zaprzestać czynnego działania w tym kierunku. W stosunku do tych, którzy czują się pokrzywdzeni, życzenie takie może być, rzecz prosta, uważane za naiwne. Ale rzecz w tem, iż istnieją czynniki zupełnie niezainteresowane w spornych problematach, które jednakowoż (powodując się bądź „uczuciem", bądź — co ważniejsza — zgoła fałszywem pojęciem o skutkach, jakie ich akcja spowodować może) nie zwracają dość uwagi i nie czynią wszystkiego, aby trwałość obecnego status quo postawić wogóle poza dyskusją. Zmiana tych poglądów (a przyznać trzeba, iż powoli dokonywuje się ona obecnie) jest konieczną przesłanką wszelkiej akcji międzynarodowej na gruncie gospodarczym, któraby mogła zapisać na swe konto wyraźne sukcesy.

Trzecim wreszcie — i bynajmniej nie do zlekceważenia — czynnikiem pozagospodarczym, mogącym wpłynąć na pozytywne wykorzystanie zaznaczających się na świecie objektywnych warunków poprawy jest kształtowanie się stosunków wewnętrzno-politycznych w tych krajach, które z natury swego organizmu gospodarczego odgrywają pierwszorzędną rolę w organizmie gospodarczym świata. Obecnie specjalnie nie należy o tem zapominać, gdy stoimy wobec rozgrywki wyborczej o fotel prezydenta Stanów Zjednoczonych. I, kiedy zważymy, jaki jest faktyczny zasięg mającego zapaść za oceanem rozstrzygnięcia, nie możemy oprzeć się uczuciu niesmaku i poniżenia, zdając sobie sprawę, na jakie to sprawy będzie miało wpływ społeczeństwo, o którego wyrobieniu politycznem i kulturalnem panuje już dziś w Europie zadziwiająca jednomyślność.

Jakżeż w tych warunkach oceniać można szanse poprawy sytuacji gospodarczej świata? Jak wyciągać wnioski ze statystyk obrotu pieniężnego, portfeli wekslowych, zawartości stock'ów, wysokości stopy dyskontowej?... Cy mogą one dać jakąkolwiek odpowiedź konkretną?... Oczywiście — nie. Zbyt silnie skomplikowały się i zazębiły przeciwieństwa gospodarcze i finansowe pomiędzy poszczególnemi organizmami gospodarczemi na kuli ziemskiej, aby można było mówić o jakiemkolwiek mechanicznem „wyżywaniu się" depresji. Trzeba trochę racji przyznać i tym „zawodowym" politykom, którzy od samego początku twierdzą, iż kryzys jest... polityczny, a nie gospodarczy. Znamy dobrze motywy tego twierdzenia. Powstało ono poprostu z ignorancji spraw przez ludzi, kierujących polityką państw. A jednak... A jednak niechcący nie mylą się oni całkowicie...

U W A G I

WIEŚCI Z FRONTU.

Na froncie walki o dostosowanie cen sztywnych do zwiększonej wartości pieniądza nastąpiły wydarzenia, których można nie przeceniać, ale napewno nie należy lekceważyć. Obniżenie cen wyrobów monopolu spirytusowego i niektórych wyrobów monopolu tytoniowego wraz z potanieniem soli bydlęcej stanowi, przy założeniu utrzymania rozmiarów konsumcji, około 120 milj. zł. w stosunku rocznym, zaoszczędzonych nabywcom. Zapowiedziano nareszcie dawno oczekiwaną redukcję cen nawozów potasowych. Obniżenie ceny cukru o 20 gr. na 1 kg., o ile w całości przeniknie do detalu, co jeszcze nie wszędzie nastąpiło, stanowić będzie około 60 milj. zł. rocznie. Dla należytej oceny dokonanych obniżek należy pamiętać, że ceny monopolowe zawierają, obok zwykłych składników każdej ceny, znaczny podatek akcyzowy, obniżenie zaś cen w dzisiejszej sytuacji skarbowej nie mogło być dokonane kosztem tego podatku, a tylko kosztem kompresji kosztów własnych na jednostkę towaru, kompresji, dokonanej mimo spadku spożycia i spowodowanego tem wzrostu kosztów stałych, co przedstawiciele świata kartelowego z reguły przedstawiają jako niemożliwe.

Można, oczywiście, spierać się o wybór i o rozmiar dokonanych obniżek. Można wyrazić nadzieję, że w niedalekiej przyszłości znajdzie się jeszcze możność potanienia artykułu, którego wysoka cena jest szczególnie boleśnie odczuwana przez najuboższą ludność — soli jadalnej, a także niektórych taryf kolejowych i pocztowych. Możnaby prosić Dyrekcję Państwowego Monopolu Tytoniowego o zaniechanie w akcji propagandowej nadużywanego, a doprawdy nieprzekonywującego i drażniącego klijentów argumentu, sprowadzającego się do rady: „Jeśli żądany towar jest zadrogi, kup ten gorszy". Nie da się jednak obalić faktu, że *Państwo, jako sprzedawca, zdecydowanie znalazło się po stronie elastyczności cen*, wykazując tem samem elastyczność w dostosowywaniu się do zmienionych warunków, naprzekór famie, głoszącej, jakoby w urzędach i instytucjach państwowych zmonopolizowano biurokrację i skostnienie. Nie wszystkie wprawdzie człony olbrzymiego organizmu państwowego wykazują równą elastyczność, ale czyż może być inaczej? Pod naciskiem Państwa pewne uelastycznienie następuje również w gospodarce samorządowej, a są oznaki, że nie oprą się temu naciskowi także samorządy specjalne. Twierdzą nieugiętej sztywności cen, sztywności argumentów (wybaczy mi p. min. Matuszewski zapożyczenie jego znakomitej terminologji), pozostaje w coraz większem odosobnieniu skartelizowany przemysł prywatny.

Tam, niestety, nic się nie zmieniło. Te same, wyszarzane, obalone przed wielu miesiącami argumenty polemik prasowych, argumenty, w które nie wierzą ich autorowie, ten sam ślepy upór, skoncentrowany w jednym kierunku: nie ustąpić nic z doraźnych korzyści, nie zezwolić na żadną radykalniejszą operację, choćby to miało doprowadzić chorobę do stanu beznadziejnego. Obniżono cenę cukru, ale żeby publiczność nie miała żadnych złudzeń, sami przemysłowcy uświadomili społeczeństwo że nie aprobują

tej decyzji min. Skarbu, że operacji dokonano wbrew ich woli. Odtworzony na nowo kartel superfosfatowy podnosi cenę na ten artykuł, istotnie nadmiernie obniżoną w ciągu kilku miesięcy ostrej walki konkurencyjnej, odrazu o 40 proc., utrudniając temu artykułowi konkurencję z importowaną tomasyną. Zmniejszenie eksportu węgla zmniejszyło koszty dumpingu, a jednak o rewizji cen tego podstawowego surowca, wpływającego na kalkulację cen wszystkich niemal towarów, nie słychać.

Nie wątpię ani na chwilę, że ceny kartelowe zostaną obniżone. Zwężenie się odcinka „sztywności" niepomiernie zwiększa ciśnienie wywierane na ten odcinek, zupełnie zgodnie z prawami fizyki. Istnienie grupy cen realnie zwyżkujących, w miarę spadku wszystkich innych cen, staje się nie do wytrzymania i nie do utrzymania. Warto jednak pamiętać o tem, co przypomniał p. C. K. w zakończeniu artykułu o tezauryzacji, pomieszczonego w poprzednim numerze „Gospodarki". Zwaca on mianowicie uwagę na fakt, że nadzieje, związane z akcją obniżania cen, powodują tezauryzację w nadziei tańszego kupna w przyszłości. Utrzymywanie tego stanu rzeczy nie jest korzystne ani dla przemysłu, ani dla całości społeczeństwa. Pan C. K. wyciąga stąd wniosek, że akcja rządowa obniżanie cen, o ile jest konieczna winna być przeprowadzona jaknajprędzej. W mojem przekonaniu zaniechanie tej akcji nicby nie pomogło, bo samo istnienie stanu anormalnego musi wywoływać pytanie: kiedy się to skończy? niepodobna zaś wmówić społeczeństwu, że dzisiejsze ustosunkowanie cen kartelowych i konkurencyjnych jest normalne. Jedynie radykalne i szybkie przeprowadzenie obniżki, w rozmiarach wydatnie łagodzących dzisiejszą dysproporcję, pozwoli na utrwalenie się przekonania, że nieunikniony podczas kryzysu spadek cen nastąpił już w całej rozciągłości i dalsza spekulacja na zniżkę cen jest nierealna, a może się stać niebezpieczna. Dlatego upór, z jakim kierownicy zrzeszonego przemysłu usiłują odwlec to, co nieuchronnie musi nastąpić, jest sprzeczny nawet z dobrze przemyślanym interesem reprezentowanego przez nich przemysłu. Porównanie zaś reakcji na kryzys ze strony monopoli państwowych i prywatnych nasuwa obawę, że obrona gospodarki prywatnej może poza pewnemi granicami zdegenerowania tej ostatniej stracić sens. Czy pogłębianie tej obawy w społeczeństwie jest właściwem zadaniem kierowników przemysłu — wolno wątpić.

J. Poniatowski.

TRANZAKCJE KOMPENSACYJNE.

Tranzakcje kompensacyjne są modną obecnie i coraz szerzej się rozpowszechniającą formą handlu międzynarodowego. Powstały one na tle najrozmaitszych zarządzeń, podporządkowujących handel zagraniczny potrzebom walutowym, bądź przez ograniczanie importu, bądź przez nakaz zgłaszania bankowi emisyjnemu walut eksportowych. Jest zjawiskiem niejako naturalnem, że z chwilą, gdy pieniądz, wynalazek uczyniony dla wygody i użytku handlu, staje się czynnikiem, utrudniającym wymianę, przybiera ona formy bezpieniężne. Rzeczą przytem obojętną jest, czy mamy do czynienia z ograniczeniami ruchu dewiz czy towarów, gdyż oba te rodzaje restrykcyj importowych zmierzają do wyrównywania bilansów płatniczych przez kształtowanie bilansów handlowych, zamiast normalnej relacji odwrotnej. Kompensacja jest w porównaniu do tranzakcji pieniężnych formą handlu prymitywną; w technice kupieckiej jest ona niewątpliwie formą szczególnie skomplikowaną. Tranzakcja wymienna wymaga porozumienia się dwuch kupców jednej branży co do jednej partji towaru. Kompensacja uwarunkowana jest uzgodnieniem interesów czterech kupców, z dwuch niezwiązanych ze sobą branż, do czego dochodzi konieczność uzyskiwania zgody najróżniejszych instytucyj rządowych restryngujących handel zagraniczny. Zrozumiałem jest przeto, że rozwój tranzakcyj kompesancyjnych spowodował powstawanie specyficznych form pośrednictwa handlowego, form z natury swojej dysponujących wielkim kapitałem zaufania, pokładanego w nich przez obcych sobie kupców, dorywczo wiązanych w tym anormalnym procesie. Tem samem istnieje duże niebezpieczeństwo nadużyć, jeżeli pośrednictwo kompensacyjne przyjmowane byłoby przez czynniki niedość solidne, a w konsekwencji w całym świecie obserwujemy tendencję do powierzania tych funkcyj instytucjom prawa publicznego lub też organom przez te instytucje tworzonym. Ostatnio również w Polsce trzy naczelne organizacje gospodarcze przystąpiły do oganizowania spółki handlowej, lecz nieobliczonej na zysk, mającej pośredniczyć w tranzakcjach kompensacyjnych.

Można przypuszczać, że z chwilą zaistnienia aparatu, ułatwiającego handel kompensacyjny, rozwinie się on w dalszym stopniu. I tu nasuwają się niejakie obawy i dezyderaty. Zachodzi przedewszystkiem pytanie, w jakich wypadkach kompensacja jest pożądana, czy dopuszczalna, mianowicie dla kraju takiego jak nasz, zmuszonego do podtrzymywania w bilansie handlowym salda aktywnego i nie stosującego ograniczeń dewizowych. Ujęcie całego handlu zagranicznego w tryb kompensacyjny byłoby zrównaniem importu z eksportem, koniecznem więc jest utrzymanie pieniężnych tranzakcyj eksportowych w tych rozmiarach, aby wyrównały one rozmiary pieniężnych tranzakcyj importowych i stworzyły w bilansie aktywum. Kompensacja nie jest więc dla nas pożądana. Godzić się z nią można w tych wypadkach, gdy pieniężna tranzakcja importowa jest niemożliwa. Jest to określenie może nieco zbyt aforystyczne, tem niemniej ścisłe. Wytycza ono zakres działalności dla instytucyj pośredniczących w tranzakcjach kompensacyjnych, wskazuje mianowicie na szkodliwość aktywnej z ich strony działalności, na szkodliwość chwytania w tryb kompensacyjny tranzakcyj eksportowych, które możnaby przeprowadzić drogą wymiany pieniężnej.

Ograniczenia obrotu towarowego i dewizowego istnieją w Europie, nieszczęśliwym dla nas zbiegiem okoliczności, w krajach, z któremi posiadamy aktywne salda bilansu handlowego, w stosunku do których przeto kompensacja, czynnik, sprowadzający bilanse do zera, nasuwa najwięcej zastrzeżeń. W odniesieniu do krajów tych potrzeba pasywnego ustosunkowania się instytucyj wykonujących pośrednictwo kompensacyjne, występuje z całą siłą. Wręcz odmiennie przedstawia się sprawa w stosunku do krajów, z któremi posiadamy bilans handlowy pasywny, a więc przedewszystkiem krajów zamorskich. W tym wypadku sprowadzanie salda bilansu do zera jest dla nas oczywiście korzystnem. Tem samem pożądanem jest, aby import towarów

zamorskich w jaknajszerszej mierze ujmować w tranzakcję kompensacyjne i w tej dziedzinie aktywność pośrednictwa kompensacyjnego jest pożądana. Przemawiają za tem również liczne okoliczności uboczne. Wiadomem jest mianowicie, że znaczną, zapewne przekraczająca połowę, część naszych obrotów z krajami pozaeuropejskiemi dokonywana jest za pośrednictwem krajów trzecich, głównie Niemiec. Utrudnia to w olbrzymim stopniu konsekwentną rozbudowę tych stosunków handlowych, hamuje eksport, powoduje, że importujemy ze źródeł nie zawsze najkorzystniejszych. Tranzakcja kompensacyjna przy całem skomplikowaniu swych form jest tranzakcją najbardziej bezpośrednią. Rozwój przeto tych interesów może odegrać rolę pionierską w naszym handlu zamorskim, stworzyć nowe rynki zbytu, stać się podłożem dla przyszłych normalnych, pieniężnych już stosunków. Ułatwieniem w tym względzie jest, że przy obrotach kompensacyjnych towar nasz znajdzie naturalnego poplecznika i pomocnika w eksporterze obcym, co przy niedorozwoju naszego aparatu handlowego ma znaczenie bardzo poważne. Anormalne warunki handlowe i dostosone do nich anormalne formy pośrednictwa przy odpowiedniem potraktowaniu ich działania odegrać mogą w historji naszego handlu zagranicznego rolę wybitnie dodatnią.

w. j.

PRZESTOJE.

Czy widział kto, nie jak, ale *kiedy* rozpoczyna się w Polsce budować? Że nie na wiosnę, jakby się zdawało, i nie w lecie, to twierdzimy z całą pewnością. Najlepszą porą budowy jest u nas jesień. We wrześniu kopie się fundamenty, w październiku kładą pierwsze cegły, w listopadzie, a nieraz w grudniu rosną ściany, w styczniu... Nie, w styczniu przychodzą mrozy, więc kto nie chce ryzykować (vide: plac Starynkiewicza) lub ponosić dodatkowe koszty na wzór — amerykański, przerywa roboty i — czeka wiosny. Ale nie tej kalendarzowej czy atmosferycznej, lecz wiosny nadziei na dalsze kredyty. Przez lato nadzieje te dojrzewają i na jesieni stają się owocem: dokończeniem kredytów budowlanych.

Że przez ten czas (styczeń — wrzesień) dom nieotynkowany niszczał, a kapitał się marnował, nie mogąc fruktyfikować, to jasne. Czy dla wszystkich? — napewno nie. Zawsze można bowiem odpowiedzieć: „co robić, kredytu zabrakło". I jeszcze dorzucić dla wyjaśnienia: „lepiej dać dwum po połowie, niż jednemu całość".

Jak się rozstrzela wysiłki i kapitał i jakie są skutki tego rozstrzelenia, o tem świadczy interesująca wzmianka, zawarta w broszurze „Kolejnictwo polskie w dobie kryzysu" (autor: inż. B. Cywiński). Zjawisko przestojów z winy kredytodawcy zaobserwować można nietylko w odniesieniu do budownictwa mieszkaniowego, lecz również i w stosunku do budowy nowych linij kolejowych, względnie przebudowy istniejących. Inż. Cywiński podaje, że linję Nasielsk — Sierpc (88 km.) budowano 6 lat, Zgierz — Kutno (57 km.) 8 lat, Woropajewo — Druja 4 lata i t. d., szczytem zaś (rekordem) jest budowa linji Polana — Wisła, liczącej zaledwie 2,5 km. w ciągu... 4 lat. Do tego dochodzą: niekończąca się od kilkunastu lat przebudowa węzła warszawskiego, niezakończenie budowy gmachów dla dyrekcji kolejowej w Chełmie oraz dwie zaczęte i.... porzucone linje (Widzew — Zgierz oraz Rzeszów — Tarnobrzeg).

„Brak środków takiej gospodarki nie usprawiedliwi — pisze inż. Cywiński — jak nie usprawiedliwiłby przedsiębiorstwa naftowego, któreby rozpoczęło jednocześnie wiercenie kilku szybów i z braku funduszów co rok wierciłoby każdy po parę miesięcy, resztę czasu zostawiając robotę odłogiem. Tylko, że takiego ekscentrycznego przedsiębiorstwa nikt z nas sobie zapewne nie wyobrazi". Autor się łudzi: a budownictwo mieszkaniowe?...

„Kapitał, włożony w budowę, zaczyna procentować dopiero wówczas, gdy urządzenia budynku lub kolei zaczynamy używać. Oprocentowanie kapitału w czasie budowy powiększa jej koszt bez żadnego równoważnika w postaci przynoszonych korzyści" („Kolejnictwo..." str. 53). Przyjmując zaś stopę procentową od zadłużenia na 9 proc., amortyzację na 3 proc., a nadzór i konserwację na 1 proc., inż. Cywiński dochodzi do wniosku, że ten 13-procentowy haracz płaci się w Polsce za przestoje, spowodowane nie strajkiem czy inną siłą wyższą, ale bezplanowością czy niedbalstwem. Że budowa linji Zgierz — Kutno, trwająca 8 lat zamiast 1½ roku, kosztowała o 54 proc. więcej, aniżeli powinna była kosztować, to prosty wynik przyjętych wyżej strat na zbytecznem oprocentowaniu. Jakie ponadto wynikają straty z takiego marnotrawstwa (nierentowność linji dla niej samej i dla okolicy, przez którą przebiega), obliczyć trudno — jest to jednak pozycja poważna. Zbyt mało kapitałów mamy w Polsce i zbyt są one kosztowne, żeby je podrażać w sposób, nie znajdujący żadnego uzasadnienia gospodarczego.

s.

NOBLESSE OBLIGE.

Piękna książka Gustawa Morcinka („Wyrąbany chodnik"), opowiadając dzieje walki ludu śląskiego o zachowanie narodowości, zatrąca również o akcję Kożdonia na Śląsku Cieszyńskim i analogiczne poczynania Kustosa na Górnym Śląsku. Odzyskaniem niepodległości zamknął się ten okres przekonywania ludu śląskiego, że nie należy do narodowości polskiej, a tworzy narodowość odrębną, „Ślązaków", używających języka po niemiecku zwanego „Wasserpolakisch". Słowo *„Ślązak"* nabrało z tą chwilą odmiennego, właściwego sensu.

Podobno jednak nie wszyscy przystosowali się do tej lingwistycznej rewolucji. Podobno istnieją sfery, które nadal na Śląsku rozróżniają nie dwie, lecz trzy narodowości. Różnica z czasami „cesarskiemi" jest tylko ta, że do „Ślązaka" nie mówi się w tym zwykłym języku „wasserpolakisch", lecz po niemiecku. Nic dziwnego zresztą, bo przybysze z Królestwa i Małopolski gwary śląskiej nie znają, a „nie decydując się" używać języka czysto polskiego, porozumiewają się ze „Ślązakiem" po niemiecku.

Czytelnika dziwić może poruszenie tej sprawy na łamach pisma gospodarczego. Musimy się wytłumaczyć. „Podobno" dotyczy w tym wypadku sfer gospodarczych, Polaków, którzy w ostatnich zwłaszcza latach — w coraz większej liczbie poczynają zajmować kierownicze stanowiska w przemyśle śląskim. Takich „podobno" jest więcej. Dotyczą one nietylko języka, lecz rozciągają się na kwestję stosunku do robotników czy pracowników narodowości polskiej i niemieckiej, kwestję udziału „wyższych sfer" napływowych w życiu społecznem miejscowego e-

lementu, nie posiadającego, jak wiadomo, dostatecznej warstwy inteligenckiej itd., itd. Nie uprzedzeni, a dobrze stosunki śląskie znający ludzie, twierdzą, że napływający na kierownicze stanowiska w życiu gospodarczem Śląska element polski nie wykorzystuje dostatecznie w interesie narodowym tych możliwości, jakie otwiera przed nim zajmowana pozycja. Że na terenie narodowościowo mieszanym, o niejednolitym stopniu uświadomienia narodowego, ogranicza się on do roli „speców", wykazując w praktyce indyferentyzm narodowy.

Państwo polskie nie nakłada na polskie sfery gospodarcze obowiązku walki z mniejszościami, nie dąży do wznowienia odwróconych jedynie przedwojennych stosunków, kiedy niemieckie dyrekcje hut i kopalń wywierały nacisk na robotnika Polaka, były aktywnemi ośrodkami germanizacji. Natomiast sfery te obowiązane są do wyzyskania swej pozycji (pozycji, którą często zawdzięczają właśnie państwu polskiemu), na rzecz interesu narodowego zawsze wtedy, kiedy da się to uczynić bez krzywdy niemieckiej mniejszości.

Pokrewne zagadnienia odnajdujemy zresztą nietylko na Górnym Śląsku.

Z punktu widzenia narodowego jest rzeczą obojętną, jakie stosunki panują pomiędzy społeczeństwem jakiegoś miasteczka w Królestwie, a personelem znajdującej się w niem fabryki. Nie jest to jednak obojętnem, jeżeli miasteczko jest miasteczkiem kresowem o ludności polskiej i ukraińskiej. Fabryka stanowi w takich warunkach potężny ośrodek polskości, ośrodek, który jednak niezawsze wykazuje zrozumienie i chęć podjęcia przypadającej mu roli.

Wszystko jedno, czy przyczyną tak często obserwowanej izolacji fabryk od miasteczka jest snobizm, czy sąsiedzkie spory — i w jednym i w drugim wypadku zmarnowana zostaje możliwość wzmożenia życia miejscowego elementu polskiego przez udział w niem zamożniejszych z reguły i często kulturalniejszych elementów fabrycznych. Elementy te winne zdać sobie sprawę, iż na terenach mieszanych kwestje — gdzieindziej — „prywatne", prywatnemi być przestają.

Na jedną jeszcze stronę zagadnienia chcielibyśmy zwrócić uwagę. Tak zwane „antykapitalistyczne" tendencje niektórych polskich ugrupowań politycznych bywają często echem przedwojennego stosunku sfer gosp. do niektórych poczynań niepodległościowych. Nie chcemy bynajmniej solidaryzować się z uproszczonym i ryczałtowym a przez to wręcz fałszywym zarzutem niedostatecznego patrjotyzmu tych sfer. Tem niemniej ówczesne rozdźwięki były dostateczne dla wytworzenia tendencji, która w czasach niepodległości nie na jednej zaważyła sprawie. Byłoby rzeczą naprawdę pożałowania godną, gdyby powstać miały ponownie warunki, sprzyjające wytworzeniu się w pewnym odłamie społeczeństwa tego „dawniejszego" stosunku do sfer gospodarczych. Choćby dlatego pożałowania godnem, że i teraz nie pozostałoby to bez konsekwencyj dla polityki gospodarczej. I dlatego tembardziej celowem i wskazanem wydawać się musi poruszenie powyższej sprawy, sprawy drażliwej i przez swe z konieczności sumaryczne ujęcie grożącej niesprawiedliwością w stosunku do wielu.

K.

EKSPLOATACJA LITERATURY.

Na ankietę Związku Zawodowego Literatów Polskich, opracowaną przez p. Władysława Landaua i wydaną przez Instytut Gospodarstwa Społecznego pt. „Życie i praca pisarza polskiego", ekonomista będzie patrzył nie od strony „homo oeconomicus", zajmującego się literaturą, lecz od strony społeczno-gospodarczej. Nie znaczy to, by mógł przejść do porządku dziennego, dajmy na to, nad faktem, że w tej grupie, któraby mogła śmiało powiedzieć: „mój zawód — same zawody", tylko 6% posiada oszczędności, zato 48% wykazuje zadłużenie.

Zaciekawi go natomiast co innego. Zastanowi się więc przedewszystkiem nad zestawieniem na str. 51 omawianej książki, z którego wynika, iż zaledwie 34% ogółu swych dochodów czerpią pisarze z twórczości literackiej, na pozostałe zaś źródła przypada 66%, a więc dwukrotnie więcej.

Wyjaśnieniem tego paradoksu ekonomicznego zajmują się dalsze rozdziały opracowania. Mówią one, że wprawdzie Związek Zawodowy Literatów Polskich ustalił przed 7-ma laty honorarja minimalne, (20% ceny nakładu brutto), w myśl zaś art. 39 ustawy o prawie autorskim należność za książkę ma być autorowi wypłacona natychmiast po ukończeniu druku, a tenże artykuł zastrzega prawo autora wglądu w rachunki księgarza, które go dotyczą, — zwyczaj, nie zaś prawo, reguluje stosunek wydawcy do autora, przyczem zwyczaj ten ma dużo wspólnego ze średniowiecznem „Faustrecht".

Na str. 95 czytamy: „gdyby za... książki wypłacano 15% od całego nakładu, autor otrzymałby za książkę w przecięciu 1.976 zł." Brzmi to mniej więcej w rodzaju: „gdyby ciocia miała drucik, to byłby — parasol". Bo przecież na str. 85 znajdujemy, iż przeciętne honorarjum (ryczałtowe — „najczęstsza forma wynagrodzeń za utwory, drukowane w postaci książki") wynosi 1.126 zł. za książkę czyli 57% średniej teoretycznej wzgl. 43% ceny, jaką osiągnąłby autor, *gdyby* mu wydawca płacił nie 15, lecz 20% od ceny brutto całego nakładu (minimum związkowe).

Ankieta stwierdza, że autor drukuje przeciętnie 1 książkę rocznie, przeto jego dochód miesięczny „z literatury" wynosi niecałe 100 zł. *Gdyby* stosowano się do norm związkowych, dochód ten wzrósłby do 219 zł. I tak poniżej minimum egzystencji.

Przyczyna powyższego „curiosum" wydaje się ekonomiście dość jasna. Jest nią *szczupłość nakładów*. Ze str. 95 omawianego opracowania wynika, że przeciętny nakład książki wynosi 2.678 egzemplarzy. Gdy przy tłomaczeniach nakład oznacza — jak podaje jeden z literatów — „sakramentalne 4.000 egz. z małemi odchyleniami w górę, rzadziej w dół" (str. 128), to przy pracach oryginalnych z pośród 385 książek, objętych ankietą, 177 czyli 46% miało nakład poniżej 2.500 egz., 163czyli 42% bito w granicach od 2.500 do 10.000 egz., a tylko 45 czyli 12% miało nakład „niebywale wielki", gdyż od 10.000 egz. wzwyż.

Wydawcy mogą na to odpowiedzieć: rynek księgarski w Polsce jest szczupły. Istotnie: jest szczupły. Ale — czyja to zasługa? Jeżeli książki polskich autorów bije się w 2.500 egzemplarzy, a tłomaczenia niemal dwa razy więcej, przyczem bynajmniej nie są to jedynie arcydzieła światowej literatury, to argument o małym popycie niewiele wyjaśnia. Powód jest inny: i prawo przekładu i tłomacz kosztują mniej, aniżeli to minimalne honorarjum, które trze-

ba wypłacić krajowemu autorowi. To jedno. A po drugie: cena książki, wynosząca od 6 do 8 zł. za tom objętości nie więcej jak 20 arkuszy druku, może odstraszyć najbardziej namiętnych bibljofilów. Od 3—4 lat, chociaż i zarobki nabywców i własne koszta wydawców pokaźnie się obniżyły (potaniała robocizna wobec nadmiaru zecerów, obniżono wydatnie podatek obrotowy), cena książek utrzymuje się bez zmiany*). Wydawca woli książki nie sprzedać i trzymać ją na składzie, aniżeli obniżyć jej cenę do poziomu, przy którym w zbiedniałej Rosji Sowieckiej rozchodzą się dziesiątki, a nawet setki tysięcy egzemplarzy. W innych wypadkach wydawca bierze w rachubę chyba owe „obere Zehntausend". które „i tak" zapłacą żądaną cenę.

A w rzeczywistości cały ten proces równie kulturalny, co ekonomiczny odbywa się w sposób następujący: wydawca umawia się z autorem na 20% ceny brutto, następnie wyjednywa zniżkę tego honorarjum do połowy, de facto zaś nic nie płaci („Życie..." str. 94). Niewypłacanie umówionego honorarjum, przetrzymywanie należności, drukowanie z opóźnieniem lub wogóle niedrukowanie, wypuszczanie na rynek większej, aniżeli umówiono, liczby egzemplarzy — oto garść sposobów, wiązanka typowych „chwytów", stosowanych przez wydawcę wobec autora. Ileż gorzkiej ironji mieści w sobie takie zdanie: „Wydawca przetrzymuje — a nie umiem żebrać u innych wydawców. Czekam wydania pośmiertnego" (str. 124). A jak czytamy na str. 149 trzeba dopiero, żeby dziennik, drukujący wpierw daną książkę w odcinku, wystrychnął na dudka firmę wydawniczą. Normalnem zjawiskiem jest eksploatacja autora przez wydawcę, równa eksploatacji czytelnika, konsumenta książki. I tylko wyjątkowo udaje się autorowi obronić swą pozycję, jak to opisuje jeden z literatów (str. 90): „W 1928 r. zwrócił się do mnie pewien księgarz z propozycją wydania dwu dawnych moich prac. Jedna miała wyjść w drugim nakładzie, a jedna w trzecim. Ofiarował mi za obie książki 300 zł. Odpowiedziałem, że oferta jest nietyle niska, ile poniżająca. Po paru miesiącach ponowił propozycję. Zawarliśmy umowę na 8% od ceny brutto z okładką. W rezultacie otrzymałem za *jedną* książkę (w trzeciem wydaniu) 1.200 zł. (a chciał dać 300 zł. za *dwie* książki)".

Rynek wydawniczy w Polsce jest jeszcze rynkiem pierwotnym, dziewiczą — powiedzielibyśmy — puszczą. Omawiana książka stanowi tu pierwszy snop światła w tę ciemną, podejrzaną gąszcz. Prędzej czy później społeczeństwo będzie musiało zająć się tą zaniedbaną dziedziną, gdzie wszelkie niepowodzenia wydawnicze usiłuje się zwalić na drogiego zecera, drogi papier, analfabetyzm, kino, radjo, sporty i Bóg wie co jeszcze, byle tylko nie na wczesno - kapitalistyczny system eksploatacji autora — producenta i fałszywą politykę ceny, jaką się stosuje wobec spożywcy - czytelnika. *k. b.*

TANI DOM WŁASNY.

Ekonomista, wracając z wystawy, jaką zasłużone Polskie Towarzystwo Reformy Mieszkaniowej urządziło na Bielanach pod Warszawą, nie będzie — rzecz prosta — pamiętał szczegółów architektonicznych i urządzenia wnętrz, bo ani się na ten zna, ani to rozumie. I, prawdę mówiąc, ta strona wystawy, nie ściągająca 90% widzów, nie może go głęboko interesować. Dla niego magnesem pokazu nie jest taki czy inny typ domu, izby, mebla, lecz: cena, użyteczność, koszt, rentowność, itp.

Tani dom własny... Pojęcie to w polskich warunkach posiada podwójną atrakcję: niska cena domu ma się tu łączyć z posiadaniem go na własność. Z doświadczenia wiemy, że domy, które dotychczas budowano, były i są drogie, a 99% spółdzielni mieszkaniowo-budowlanych buduje na własność członków, a nie osoby zbiorowej, jaką jest spółdzielnia.

Dla ekonomisty tendencja posiadania taniego domu na własność jest zrozumiała. Co więcej — dziwi go, że pomimo spadku cen kosztów budowy tak mało lokuje się w domach zasobów pieniężnych. Dla kapitałów, wycofanych z przedsiębiorstwa lub banku, dom wydaje się najlepszą, najbardziej rentowną lokatą. Że w tanich i własnych domach nie wszyscy mogą (choćby chcieli) umieszczać swe kapitały, to jasne. Ale nie dla każdego.

Panuje bowiem w Polsce fałszywe wyobrażenie, iż własny dom jest zawsze równoznaczny z kapitalizacją t. zn. z wkładem, oszczędnością. Gdy urzędnik lub robotnik (ten drugi o wiele rzadziej), który zarabia 300 zł. mies. i nie ma poważniejszych oszczędności, zapisze się do spółdzielni w celu posiadania na własność domu lub mieszkania, powiedzmy, za 30.000 zł., uważa się go nie za szaleńca, lecz za — pożyteczego obywatela. Ale przecież ten obywatel uruchamia minimalne kapitały, cały ciężar sfinansowania budowy spada na Skarb Państwa i transformacja oszczędności na kapitał, ulokowany w nieruchomości, odbywa się na koszt — podatnika. Jest jeszcze i drugi poszkodowany: to sublokator, który pomoże „właścicielowi" domu wybrnąć z kłopotów posiadacza.

To też ekonomisty nie mogą bynajmniej przekonać nadzieje, że w „tanim domu własnym" zamieszkają nie ludzie zamożni, lecz ludność pracująca, przedewszystkiem urzędnicy i robotnicy posiadający znacznie więcej dobrej woli, aniżeli uświadomienia ekonomicznego, no i — pieniędzy. Będzie to takie same nieporozumienie, jak z dotychczasowemi kooperatywami, gdzie funkcję mobilizatora kapitałów sprawuje nieodmiennie Skarb Państwa.

Nie przekona też ekonomisty argument, że mały, choćby skromny domek, jest zdrowszy od wielkiego ponurego bloku w śródmieściu, gdyż: 1-o porównanie to rozumie się samo przez się, 2-o należałoby porównać nowy dom pojedyńczy na peryferjach miasta z takimże domem blokowym, a 3-o punkt ciężkości zagadnienia leży w opłacalności kapitału, lokowanego w takim czy innym typie domu i wogóle w budownictwie.

Mając w ręku dwa wydawnictwa wystawowe: 1) Nr. 7 — 8 miesięcznika „Dom — Osiedle — Mieszkanie" (z katalogiem wystawy) i 2) „Tani dom własny, poradnik dla chcących budować", ekonomista dojdzie do następujących wniosków:

Aby mieć własny domek, nie wystarczy mieć — pieniądze. Potrzebne są jeszcze mocne nerwy i dużo wyrozumiałości. Obejść wszystkie niezbędne instytucje, przepchnąć przez nie plan domu i związane z jego budową formalności, uzyskać od budowniczego wszystko, co się w umowie wymieniło — nie jest łatwe i proste. Ale mniejsza z tem: ważniejsze jest,

---

*) Jest rzeczą zastanawiającą, że książki polskie, drukowane zagranicą (np. w Czeskim Cieszynie), a więc niewątpliwie taniej, kosztują to samo, co drukowane w Polsce.

co to wszystko będzie kosztowało? Na to pytanie mamy 3 odpowiedzi.

Czynniki rządowe przypuszczają, że drewniany domek można dziś mieć za 5 — 6 tysięcy zł., skromniejszy zaś (pokój z kuchnią) nawet za 3½ tysiąca zł.

Inaczej patrzy na tę sprawę „Poradnik". Przy 210 m³. budynku domek drewniany (2 pokoje z kuchnią) będzie kosztował 7.350 zł., murowany—7.770 zł. Do tego dojdzie koszt placu (400 m² $\times$ 3 zł. = 1.200 zł.) oraz urządzenie domu i otoczenia (kanalizacja!), tudzież wszelkie koszta, związane z procedurą przewłaszczenia gruntu, zawarcia umów, zaciągnięcia pożyczki itp. Summa summarum taki domek (bez kosztów urządzenia ogródka) pochłonąć ma 14.455 zł. czyli 69 zł. za 1 m³.

Jeszcze inaczej wyglądają rezultaty samej wystawy. Podliczając wyliczone w katalogu wystawowym domki, ich powierzchnie użytkowe i objętość, koszty budowy netto (cena domu) i brutto (cena ostateczna) etc., otrzymamy, że przeciętnie 1 domek o sr. kubaturze 170 m³ na placu 500 m² (po 5,40 zł. za 1 m² w czem 2 zł. sam grunt, a reszta tytułem udziału adjacenta) kosztuje ok. 14.000 zł. czyli ok. 80 zł. za 1 m³, przyczem cena samego domu wynosi ok. 7.800 zł.

Dużo czy mało? — Jeżeli się uwzględni, że domki wystawowe są względnie skromnie budowane, gdyż na 1 domek przypada ok. 60 m² powierzchni użytkowej, a składa się on przeciętnie z 3,8 izby (kuchnię i alkowę liczymy za izbę), t. zn. 1 izba ma zaledwie 16 m² powierzchni użytkowej (wliczając w to i ubikacje dodatkowe), to nasza odpowiedź będzie że raczej dużo, niż mało. Gdy się zaś ma w pamięci, że koszt całkowity 1 m³ w nowych domach blokowych w Warszawie wyniósł w r. ub. 60 — 70 zł., to cena czy to „Poradnika" (69 zł.), czy też wystawowa (80 zł.) nie jest ceną oszczędną.

I jeszcze jedno: „Poradnik", odnoszący się pośrednio do wystawy domków drewnianych, stwierdza, że przeciętna cena *budowy* 1 m³ w domu drewnianym obecnie wynosić powinna 35 zł., a w domu murowanym 37 zł., wobec czego na 210 m³ (jak w przykładzie) powstaje różnica raptem 420 zł. czyli zaledwie 3% ogółu kosztów. Ale zato przy domku drewnianym powstają kłopoty, związane z grzybem, palnością, deformacją itp., a domek sam nie odznacza się długowiecznością, co z punktu widzenia *ekonomicznej* celowości lokaty uważać należy za minus.

Wydaje się nam, że słuszna myśl stworzenia dobrej lokaty w budownictwie na własność została coś nie coś wypaczona. Budownictwo to, które zademonstrowano na wystawie, nie jest tak tanie, by mogło być specjalnie atrakcyjne dla większej masy drobnych kapitalistów. Położenie nacisku na budowanie z drzewa jeszcze bardziej tę atrakcyjność osłabia. Jego plusem jest natomiast to, że pokazuje ad oculos, iż nie nadaje się ono dla ludzi, pozbawionych conajmniej 10.000 zł. własnego kapitału.

z. i.

CZESŁAW BOBROWSKI

EPIDEMJE

Zainteresowanie dla problemów ogólnej polityki i zacieranie sprzeczności interesów — charakterystyczne cechy naszej publicystyki i polityki gospodarczej — są rezultatem wypaczeń psychiki gospodarczej społeczeństwa

Publicystyka gospodarcza może być przedmiotem rozważań nie tylko jako zespół myśli lub zespół projektów sugerujących czy oceniających pewne posunięcie polityczno - gospodarcze, lub pewien fakt ekonomiczny. Polityka gospodarcza interesować może nietylko jako zespół decyzji z których mają się zrodzić praktyczne konsekwencje. Zarówno publicystyka jak polityka mogą być przedmiotem analizy nie z punktu widzenia celu który sobie stawiają a źródła z których się rodzą. Nie musi to być zresztą źródło leżące w płaszczyźnie świadomości. Myśl ekonomiczna nie kształtuje się w sferze „czystego myślenia", a ulega wpływowi sił podskórnie nurtujących społeczeństwo. Myśl ekonomiczna pewnego narodu i rodzące się z tej myśli decyzje są siłą rzeczy napiętnowane, utrwalonym w społeczeństwie poza — logicznym stosunkiem do pewnych problemów. W naszej publicystyce i polityce — w dwuch punktach przynajmniej — ta, jeśli się tak wyrazić można „podszewka" myślenia ekonomicznego występuje z całą wyrazistością.

Dziennik gospodarczy mamy tylko jeden. Charakter tego dziennika jest właściwie zupełnie przypadkowy. Praktycznych, ważnych dla przemysłowca, czy kupca wiadomości zawiera on nie tak wiele. Obok nich — kilka artykułów treści ogólno ekonomicznej. Bardzo wiele materjału, o którego zamieszczeniu zdecydowała raczej administracja, niż redakcja. Zasięg interesów, których broni pismo, jest tak szeroki, że nie można go uważać w rezultacie za reprezentację jakichś określonych interesów. Nie zamierzamy dyskutować sprawy, czy w naszych warunkach można lepiej prowadzić tego rodzaju pismo. Nie wątpimy o jego potrzebie i celowości, ale... Ale z punktu widzenia, który nas w tej chwili obchodzi, musimy stwierdzić, że w piśmie nie uwydatniła się jaskrawo, nie wysunęła na pierwszy plan żadna grupa praktycznych zagadnień, żadna dziedzina praktycznych interesów. Ani oszczędzający, ani producent przemysłowy czy rolny, ani kupiec nie jest przedmiotem specjalnej uwagi ze strony pisma. Jak omnibus, zabiera ono chętnie każdego prenumeratora i czytelnika, rezerwując pierwszą klasę dla inseratów. W drodze dostarcza im lektury lekko strawnej, nie drażniającej nikogo i działającej bez przerywania snu.

Inne perjodyki. Pisma branżowe wegetują, nie uzyskując posłuchu po za ramami danej branży. Często zresztą nie znajdują go i w swojej branży — głos z tego poziomu dosłyszeć jest trudno — jest to głos z pod ziemi. Ten typ pisma utrzymywany jest przeważnie przez organizację dla celów organizacyjnych i egzystuje bez względu na popyt na nie na rynku Zrzeszeni bardziej interesują się Gazetą Handlową,

a jeszcze bardziej zwykłą prasą codzienną. Wobec interesów „sąsiedzkich“ pisma branżowe zachowują najwyższą kurtuazję. Idźmy dalej. Wyższy, nieraz bardzo wysoki poziom, znajdujemy w pismach ogólno - ekonomicznych. Jest ich przedewszystkiem bardzo dużo w stosunku do ogólnego rozwoju perjodycznej prasy gospodarczej w Polsce. Polska Gospodarcza, Przegląd Gospodarczy, Gospodarka Narodowa, oraz pół branżowe i pół regjonalne, jak Rolnik Ekonomista, Wiadomości Górnośląskie. Polska Gospodarcza omawia zamierzenia Rządu, starając się nic z zamierzeń Rządu nie zdradzić. W stosunku do sfer gospodarczych — nie bez słuszności — stosuje zasadę: „de mortuis nihil nisi bene“. Przegląd Gospodarczy co dwa tygodnie bije swe własne rekordy w sztuce krytycznej oceny niektórych posunięć rządowych, bez przeciwstawiania się Rządowi. Gospodarka Narodowa, (nie powinno się wydawać dziwne, że na jej własnych łamach piszę tak o niej bez obsłonek), biedzi się nad zagadnieniem, jak pogodzić dążenie do jednolitego charakteru pisma z jego charakterem dyskusyjnym. Polemiki pomiędzy pismami są rzadkością. Bardzo wiele miejsca poświęcają, zwłaszcza dwa pierwsze pisma, zagadnieniom zagranicznym. Szczególnie popularne są sprawy genewskie i konferencje międzynarodowe. Następne miejsce zajmują zagadnienia naszej ogólnej polityki gospodarczej. Sprawom szczegółowym, np. zagadnieniom jednej branży, poświęca się znacznie mniej uwagi.

Przejdźmy do publikacyj ekonomicznych. Autorzy rekrutują się przeważnie ze sfer naukowych — urzędnicy państwowych resortów gospodarczych i urzędnicy organizacyj gospodarczych ograniczają zazwyczaj swą działalność publicystyczną do pism perjodycznych, zaś praktyczni działacze z życia gospodarczego po za nielicznemi wyjątkami, nie pisują wogóle. Tematem popularnym w swoim czasie było zagadnienie programu gospodarczego Polski, — potem przyszła kolej na etatyzm i liberalizm. Zagadnienia szczegółowe, o węższym zakresie, wyjątkowo tylko stają się przedmiotem poważniejszych prac. Tezy, doktorskie czy magisterskie, o typowym dla Francji czy Niemiec charakterze przyczynkarskim. zrzadka tylko ukazują się w druku. Prac o charakterze ekonomiczno - technicznym nie spotyka się zupełnie

Prasa codzienna poświęca zagadnieniom gospodarczym coraz więcej miejsca i mówi o nich na coraz wyższym poziomie. Co natomiast jest niezmiernie charakterystyczne, to fakt, że o tendencjach i kierunku działu gospodarczego danego pisma prawie z reguły decyduje jedynie przynależność do tego lub innego obozu politycznego. Za wyjątkiem prasy socjalistycznej i jednego z pism, stanowiącego wyraźną ekspozyturę organizacji gospodarczej, w żadnem z pozostałych nie dają się odnaleść stałe związki z jakimkolwiek odłamem interesów gospodarczych. Uzależnienie od interesów politycznych nie jest zakłócone żadnymi ubocznymi wpływami, jest natomiast tak duże, że z wyjątkiem może I. K. C. żadne z pism w sprawach polityki gospodarczej samodzielności nie wykazuje. Conajwyżej temperament konserwatywny lub radykalny decyduje o tonie oceny. Co się tyczy tematu to i tu cieszą się popularnością zagadnienia ogólne i oderwane.

Jest rzeczą zrozumiałą, iż reprezentanci poszczególnych ugrupowań interesów zarzucają polskiej polityce gospodarczej niedocenianie tych interesów, które właśnie oni reprezentują. Spróbujmy jed przyjrzeć się naszej polityce gospodarczej na nieco większym odcinku czasu, a uderzy nas coś wręcz odwrotnego od zarzucanej jednostronności. Politykę naszą cechuje brak trwałego wyboru pomiędzy grupami interesów i pomiędzy odłamami społeczeństwa: niema interesu, którego nie chcielibyśmy chronić. Ustawodawstwo, chroniące wierzyciela, jest rzeczą dawną i wypróbowaną, a jednak myśli się często o wzmocnieniu sankcyj, broniących jego praw. Z drugiej strony nie zapomina się i o dłużniku — choćby w drodze dokonanego w praktyce złagodzenia ustawodawstwa upadłościowego. Motywem, działającym w tym wypadku, jest chęć utrzymania przy życiu zachwianych przez kryzys warsztatów pracy, chęć, nie mniej żywa, niż przed rokiem czy dwoma, pomimo enuncjacyj niektórych wyższych urzędników, idących we wręcz przeciwnym kierunku. W stosunku do tych samych warsztatów umiemy być jednak nieubłaganymi egzekutorami należności skarbowych na przykład. Nic dziwnego, bo istotnie troska naszej polityki o równowagę budżetową jest bardzo poważna i sumienna. To jednak z kolei nie przeszkadza nam odnosić się do pewnych pozycyj rozchodowych z respektem, uzasadnionym być może innemi względami, ale niemożliwym do pogodzenia z trzeźwą oceną sytuacji budżetowej. Piszącemu te słowa zdarzyło się być świadkiem niezmiernie charakterystycznego sporu. Spór dotyczył tego, czy naszą politykę gospodarczą uważać należy za politykę producenta, czy za politykę konsumenta. Rezultatem dyskusji było ustalenie, że obecna polityka Rządu nie może być zaliczona ani do pierwszej, ani do drugiej kategorji. Można się zgodzić z twierdzeniem, iż na dłuższy dystans rozróżnianie polityki konsumenta i polityki producenta jest absurdem. W praktyce jednak słowa te dobrze charakteryzują skłonności, kierujące rządami przy decydowaniu konkretnych problemów gospodarczych. Podobna sytuacja istnieje, jeśli chodzi o kwestję stosunku polityki rządowej do zagadnień rolnictwa z jednej, a przemysłu z drugiej strony. Na dłuższy dystans interesy obu grup pokrywają się ze sobą o tyle, że jedna dla drugiej jest rynkiem zbytu, na krótszych odcinkach czasu jednak staje się niejednokrotnie wobec konieczności dokonywania przesunięć w rozdziale dochodu narodowego na rzecz jednej z obu grup. W takich wypadkach obserwując posunięcia naszej polityki odnosi się wrażenie, że ukrytem marzeniem czynników decydujących jest „ażeby wilk był równie syty, jak koza cała“.

Jeżeli polityka rządowa nie wykazuje określonych skłonności w wyborze pomiędzy poszczególnemi grupami interesu, to natomiast zupełnie wyraźnie woli pewien krąg zagadnień od pozostałych Stąd zresztą powstają niejednokrotnie nieporozumienia. Wydawaćby się mogło na przykład, że drobny przemysł i rzemiosło są traktowane nieco po macoszemu. Bynajmniej tak nie jest. O ile zagadnienia drobnego przemysłu i rzemiosła wypływają na światło dzienne, traktowane są z całą życzliwością, ba, z maksimum dobrej woli. Po prostu tylko, te tematy pojawiają się najrzadziej na ustach. Uwagę — ale tylko uwagę — przyciągają częściej wielkie, efektowne zakłady przemysłowe, klucze folwarków, stanowiące niemal państewka, lub drobne warsztaty rolne, skromne coprawda pod względem rozmiaru, ale za

to bezkonkurencyjne pod względem liczebności Zresztą wielki zakład przemysłowy to XX wiek, to nowoczesna technika, to amerykanizm, folwark to zagroda chłopska to, z czego wyszliśmy prawie wszyscy, czem żyliśmy my sami jeszcze wczoraj, a z czem polska tradycja zrosła się nierozłącznie.

I w innym sensie zresztą nie wszystkie zagadnienia interesują naszą politykę gospodarczą w równym stopniu. Jeżeli działalność gospodarczą państwa podzielić na dwie grupy: pierwszą zawierającą się w ramach stałych, normalnych, tradycyjnych uprawnień państwa i drugą, obejmującą — historycznie nowsze zadania, jakie państwo stawia sobie w obrębie regulowania konjunktury, rozdziału dochodu społecznego, organizacji produkcji i wymiany, reagowania na zmiany w światowej polityce handlowej itp., itp., to niewątpliwie będziemy musieli stwierdzić, że ta druga grupa częściej zaprząta uwagę Rządu i więcej może pochłania jego pracy. Ogólna klasyfikacja w tym wypadku jest trudna i musi być z natury rzeczy nieścisła. Z zastrzeżeniem tej nieścisłości pragniemy jednak podkreślić to specjalne zainteresowanie, które kieruje działalność gospodarczą Rządu raczej w kierunku zagadnień ogólnych, raczej w kierunku regulowania ogólnych warunków życia gospodarczego, w kierunku „czystej polityki", niż w kierunku działalności praktyczno - administracyjnej w zakresie gospodarczym. Niewątpliwie również istnieje pewna skłonność ku posunięciom dającym duży doraźny efekt, a niedocenianiu spraw najpierwszego znaczenia na dłuższą metę; ale nie dających terenu do uzyskania bezpośredniego rezultatu.

Wiele z pośród zanotowanych wyżej zjawisk tłomaczy się przyczynami przypadkowemi, a więc np. warunkami pracy publicystycznej w Polsce, czy oddziaływaniem kryzysu na charakter i przedmiot polityki gospodarczej. Tem nie mniej zjawiska, które obserwujemy na znacznej przestrzeni czasu w dwóch tak odległych dziedzinach, jak publicystyka i polityka gospodarcza, wskazują zbyt wyraźne pokrewieństwo, ażeby wszystko zapisać na rachunek przypadkowości. Spróbujmy ugrupować zanotowane fakty. Dają się one zawrzeć w dwóch kategorjach. A więc przedewszystkiem wspomniana kilkakrotnie równowaga interesów, sui generis fałszywy solidaryzm. Równowagę tę obserwowaliśmy równie dobrze na terenie publicystyki, jak i polityki gospodarczej. I w jednym i w drugim wypadku rezultatem jej była pewna bezkrwistość, niezdecydowanie. Czy zjawisko to można uważać za pozytywne? Tak często apeluje się „do zgody w dzisiejszych ciężkich czasach", że przesąd tego rodzaju dość głęboko się ugruntował. Tem nie mniej musimy stwierdzić zupełnie kategorycznie, że zjawisko to uważamy za negatywne. Tylko walka interesów może być istotnym motorem myślenia i działania. Sprzeczności interesów istniejące w gospodarstwie polskiem, jak w każdem innem, nie zostają bynajmniej usunięte przez fakt pseudo solidaryzmu: są one tylko przemilczane, lub zapominane. Rezultatem tego może być jedynie marazm myślenia i niezdecydowanie w działaniu. Co gorsze, interesy, których sprzeczności nie zostały usunięte zamiast wystąpić jawnie, z podniesioną przyłbicą, znajdują inne tereny dla zamaskowanej walki.

Przyczyny tego pozornego zawieszenia broni leżą zresztą głębiej, poza sferą publicystyki i polityki gospodarczej. Nie tylko w Polsce prorocy upadku kapitalizmu obserwowali zjawisko „rozkładu sumienia kapitalistycznego". Oczyściwszy tę obserwację od niewczesnych proroctw, musimy się zgodzić, że w Polsce zjawisko takie istnieje w sposób jaskrawszy może niż gdziekolwiek. Wprawdzie koncepcja „service", pojmowanie działalności gospodarczej jako służby społecznej, interpretowanie zysku jako sprawdzianu, że przedsiębiorstwo pracuje dobrze, a zatem spełnia swój obowiązek społeczny, urodziły się w Ameryce, ale zato my wynaleźliśmy, a co najmniej rozpowszechnili zwyczaj wstydzenia się, lub choćby tylko nieprzyznawania się do chęci zysku. Zamiast próby usprawiedliwiania interesu osobistego, jak to ma miejsce np. u Forda, czy poprostu „czystego sumienia" jak u normalnego, przeciętnego przedsiębiorcy, dążącego do osiągnięcia zysku, w Polsce zrodził się jakiś specyficzny, wstydliwy stosunek do tego zwykłego i niezastąpionego motywu działalności gospodarczej. Niewątpliwie stosunek ten rzadko przybiera postać tak jaskrawą, jak to ma miejsce w rozklejonej parę dni temu odezwie Legjonu Młodych, którą wzywa — ni mniej ni więcej — „do wytępienia w psychice polskiej chęci zysku i interesu osobistego". W bardziej złagodzonej formie podobne odłamki psychiki socjalistycznej, (bez ustroju socjalistycznego!), odnajdujemy jednak i w innych ugrupowaniach społecznych, nawet o większym autorytecie. Jest rzeczą powszechnie znaną, że echa tej specyficznie pojmowanej tendencji antykapitalistycznej dają się odnaleźć w naszem ustawodawstwie podatkowem, co ciekawsze jednak, że i sami „zainteresowani" kultywują jej rozwój. Gdyby brać dosłownie memorjały i petycje, składane przez ugrupowania przemysłowe Rządowi, to możnaby przypuszczać, że produkcja w Polsce istnieje bynajmniej nie dla zapewnienia renty kapitałowi, lecz dla dobra Państwa i robotników. Jeśli nie „człowiek ulicy", to w każdym razie inteligent polski w kwestji zysku jako celu działalności gospodarczej, ma pojęcia zupełnie przewrotne, gospodarczo niemoralne, dyskwalifikujące go jako „homo economicus". Na tym podkładzie rozwija się, w tej atmosferze wyrasta ów fałszywy solidaryzm, który powinienby być z całą mocą tępiony, a który mimo swego zakłamania tak często uchodzi za cnotę.

To zainteresowanie dla „szerokich i ogólnych" zagadnień, które cechuje naszą publicystykę i politykę ma również swój podkład w psychice gospodarczej społeczeństwa. Społeczeństwo nasze zdaje się zapominać, że życie gospodarcze jest sumą pracy tych warsztatów. Kwestje wtórne, sprawa warunków działalności gospodarczej, sprawa rozdziału efektu tej działalności itd., wysunęły się w świadomości społecznej na plan pierwszy, tak jakby były zagadnieniami pierwotnemi, a nie pochodnemi. Niezmiernie pouczające są głosy prasy codziennej na temat walki z kryzysem i rozmowy z ludźmi, stojącymi po za życiem gospodarczem, jakie każdemu z ekonomistów zdarza się prowadzić. W oczach szerokich, niefachowych kół społeczeństwa, polityka gospodarcza, pod warunkiem iż będzie stosowna i celowa może sama przez się rozwiązać zagadnienie kryzysu. Istnieją zabawki dla dzieci, składające się z dwóch skomplikowanych i nieforemnych figur z drutu, przechodzących nawzajem przez siebie. Figury te można rozdzielić, przy pomocy zręcznej sztuczki, której trudno się domyśleć. Czytając i słuchając

wielu zdań na temat kryzysu, wydawać się nieraz może, że powrót do pomyślności gospodarczej zależy tylko od tego, czy uczeni w piśmie i Rząd zdołają wpaść na podobną sztuczkę. Okres powojennej inflacji i dezorganizacji rynku, okres wzmożonej interwencji Państwa to znaczy okres, w którym nad działalnością i wysiłkami przedsiębiorcy dominowały warunki w jakich odbywała się ta działalność sprawił, że stosunek jego do zagadnień polityki gospodarczej nie wiele odbiega od scharakteryzowanego wyżej stosunku szerokich mas. Prasa daje konsumentowi, to czego ten żąda. Rząd musi dać społeczeństwu to, czego się odeń oczekuje i w pierwszym rzędzie domaga. Na gruncie spaczonego pojęcia o życiu gospodarczem, panującego w społeczeństwie, wyrasta tendencja polityki i publicystyki do lekceważenia codziennych, nieefektownych problemów, a wysuwania na plan pierwszy problemów ogólnych. Można powiedzieć, że więcej pamięta się o istnieniu praw, rządzących życiem gospodarczem, niż o istnieniu samego życia gospodarczego. Stąd w sposób nieunikniony rodzi się tendencja do dedukcyjnego stawiania problemów gospodarczych, do prowadzenia abstrakcyjnej polityki.

Zbytecznem jest podkreślać szkodliwość choroby, której pobieżną djagnozę daliśmy wyżej. Polska, będąc krajem o bardzo elastycznej i urozmaiconej polityce gospodarczej ,jest jednocześnie jednym z najbardziej staroświeckich pod względem techniki życia gospodarczego. Zadrukowywane co tydzień, czy co dzień arkusze, przynosząc wiele spornych lub poprawnych elaboratów ekonomicznych, pozostawiają bez oświetlenia dziesiątki spraw drobnych ale o dużej doniosłości praktycznej. Nasza znajomość polskiej rzeczywistości gospodarczej bynajmniej nie postępuje w parze z rozwojem naszej pomysłowości w doktrynie i polityce gospodarczej. To powiedzenie wystarcza chyba i zwalnia od dalszych wywodów. Publicystyka i polityka gospodarcza nie żyją w cieplarniach. Rosną one i rozwijają się na podkładzie i w ramach społeczeństwa. Od nich zależy rozwój i postęp gospodarczy społeczeństwa, ale i vice-versa rozwój i postęp publicystyki i polityki zależy od tego, w jakim stopniu i jak prędko psychika polskiego społeczeństwa zbliży się do klasycznego typu homo oeconomicus.

NOTATKI

MORALNOŚĆ.

Aczkolwiek w dzisiejszym, zmaterjalizowanym świecie o tem się nie mówi, jednakże każdy jako tako myślący człowiek zdaje sobie sprawę z tego, jaką rolę w życiu społeczeństw ludzkich odgrywa moralność. Może się wydać dziwnem przypominanie o tem w piśmie ekonomicznem, ale weźmy pod uwagę tak rozreklamowane określenie, że kryzys obecny jest w lwiej części kryzysem zaufania. Wiadomo, że zaufanie w życiu gospodarczem polega nie tylko na przekonaniu o dobrym stanie interesów kontrahenta, ale również i o jego dobrej woli w wykonywaniu swych zobowiązań, czyli o jego moralności.

System naszej moralności opiera się cały na jednem zdaniu, sformułowanem w zaraniu chrześcijaństwa: „nie czyń drugiemu co tobie nie miłe". Nic wyższego ponad tę zasadę nie można wymyśleć i postęp polega tylko na rozpowszechnieniu stosowania jej w życiu. I wszelki porządek prawny w społeczeństwie zmierza środkami przymusowemi do tego, by przestrzegano tej zasady w interesach materjalnych, w stosunkach między jednostkami między sobą (prawo cywilne) oraz w stosunkach między państwem a obywatelami (prawo publiczne).

Kryzys gospodarczy spowodował obecnie trudności płatnicze zarówno u osób prywatnych, jak i u państwa. Wiele osób czerpało swoje dochody z tytułu pracy dla państwa, które obecnie należności tych nie reguluje. Słuszną było zatem rzeczą, że Min. Skarbu wydało okólnik o zarachowywaniu należności podatkowych od przymusowych wierzycieli państwa na rachunek ich wierzytelności. Okazuje się jednak, że w praktyce zdarza się bardzo często, iż izby skarbowe nie stosują się do tego okólnika i wystawiają na licytację za podatki majątek osób, wobec których Skarb Państwa jest dłużnikiem na sumy znacznie przekraczające wysokość należnego podatku.

Taki stosunek państwa do obywatela jest wybitnie niemoralny i szkodliwy, ponieważ wzbudza zaciętą i — przyznajmy — uzasadnioną złość na organa państwowe, co w konsekwencji podkopuje i to na długą metę więzi między państwem a obywatelem. Obywatel ma wtedy całe poczucie własnej słuszności, a ze strony organów państwowych występuje tylko siła i przymus. Takie fakty są zawsze szkodliwe, a szczególnie w państwie młodem, w którem żyje jeszcze niechętny stosunek do państwa wogóle, z racji niechęci do zaborców. Salus reipublicae bezwzględnie wymaga, ażeby zasada „nie czyń drugiemu co tobie nie miłe" była w wyżej opisanej sprawie stosowana przez organa podatkowe w całej rozciągłości.

sz.

CZY TARYFY KOLEJOWE SĄ SZTYWNE?

W czasie dyskusji na temat t. zw. sztywnych cen została poruszona kwestja taryf. Prasa pro - kartelowa wysunęła tutaj argument, że nie można mówić o obniżce cen związanych prywatnych, dopóki nie nastąpi obniżenie między innemi taryfy kolejowej. Osobiście mamy wątpliwość, czy należy stawiać kwestję w ten sposób: najpierw wy, potem my (i to bez zobowiązania), czy też raczej wypada mówić o równorzędności wspomnianych zniżek i iunctim pomiędzy jedną a drugą. Ale nie chodzi przecież o stronę— powiedzmy — werbalną.

Kto zna dokładniej problem polskich stawek przewozowych, ten wie, że aczkolwiek na jesieni 1929 r. doszła do skutku nowa, znacznie podwyższona taryfa kolejowa (mamy na myśli taryfę towarową). to jednakże w ciągu tych trzech lat nastąpił cały szereg wyjątków — i to wyłącznie in minus dla P. K. P., a in plus dla życia gospodarczego. Z punktu widzenia taryfikacji, organizacji pracy itp. nie były to posunięcia specjalnie szczęśliwe, natomiast życie gospodarcze odczuło te ulgi w sposób bardzo wyraźny. Kto bierze pod uwagę stawki zasadnicze, ten

bardzo często widzi tylko normy teoretyczne, w praktyce bowiem stosuje się stawki taryfy wyjątkowej, zwłaszcza, gdy odnoszą się one do towarów masowego spożycia.

Żeby nie być gołosłownymi, pozwolimy sobie powołać się na świeżo opublikowaną pracę p. Bohdana Cywińskiego („Kolejnictwo polskie w dobie kryzysu"), który, nie szczędząc słów krytyki pod adresem działalności i organizacji P. K. P., dochodzi między innemi do wniosku, że w ciągu 3 lat (1927 — 1930) wpływy z przewozu towarów, *obliczone na 1 tonnokilometr*, zmalały o 8%, pomimo podwyżki taryfy o 14%. Ponieważ przy tego rodzaju obliczeniu wynik ogólny zależy od stawki za jednostkę (tj. w danym wypadku za 1 t./km.), jasne jest, iż spadek o 8% wynikł nietylko z faktu, że — jak pisze cytowany autor — „udział w całokształcie przewozów największej i najtańszej pozycji przewozowej — węgla kamiennego — znacznie wzrósł", lecz również ze wspomnianej wyżej okoliczności, że stawki jednostkowe zostały obniżone.

Inż. Cywiński ponadto wywodzi, iż „taryfy nasze, wyrażone w cyfrach absolutnych, są niższe" niż w szeregu państw zagranicznych. Na potwierdzenie tej tezy podaje on tabelkę, z której wynika, że w 1930 roku *wpływy* z przewozów towarowych wyniosły na 1 t./km.:

w Niemczech	5.19	feniga
we Francji	4,50	„
w Czechosłowacji	4,46	„
w Belgji	3,54	„
w Polsce	2,43	„

Ponieważ rok 1930 był rokiem *powszechnej* depresji (najmniej może odczuła ją wówczas Francja), a zatem w wymienionych krajach musiała działać jednakowa przyczyna spadku przewozów i przesunięcia się tych ostatnich od towarów droższych do tańszych, możemy powyższe wyliczenie uważać za zupełnie miarodajny wskaźnik i za poważną odpowiedź na nieprzemyślane zarzuty prasy pro - kartelowej.

Ta ostatnia mogłaby się bronić argumentem, że przecież tak niskie normy wynikają stąd, że Polska ma dużo tanich taryf eksportowych. Argument ten jednak nie wytrzymuje krytytki, albowiem: 1) niemieckie koleje w stopniu większym, niż P. K. P., stosują stawki ulgowe (dla zwalczenia polskich portów); 2) z taryf eksportowych korzystają u nas przedewszystkiem skartelizowane gałęzie przemysłu; 3) zdarzają się niekiedy wypadki, (o których w swoim czasie na łamach „Polski Gospodarczej" wspominał prof. Gieysztor), że sami przemysłowcy wzamian za ustępstwa w taryfie wywozowej proponują (bez rezultatu zresztą) zwyżkę taryfy wewnętrznej jako rekompensatę. Może to plotka, ale — si non é vero é ben trovato. *S.*

DWIE STRONICE.

Nr. 40 łódzkiej „Prawdy" z 2. X. 1923 r. przypomina pod pewnym względem prasę sowiecką. Na pierwszych stronicach tej prasy wielkie „hasła", wzniosłe zasady, grzmiące „wytyczne" — na ostatnich stronicach petitowe korespondencje z „dołu", ilustrujące realizację haseł, zasad i wytycznych. Tam demagogja, dyktowana względami taktycznemi, tutaj — szczera proza życia, oglądana bez szkieł.

We wspomnianym zeszycie „Prawdy" na str. 1-ej czytamy, że walka z wysokiemi cenami artykułów skartelizowanych nie ma „żadnego sensu, ani znaczenia". Czytamy również, że kartele wtedy wyginą, kiedy zniknie obawa skonfiskowania (!) kapitału i ewentualnego dorobku przez niesprawiedliwe (?) podatki i świadczenia socjalne. Informują nas przytem, że „kartele musiały powstawać po to, aby mogły istnieć kasy chorych, zakłady ubezpieczeniowe, wygórowane podatki, aby państwo mogło nieracjonalnie i drogo gospodarować na kolejach, na poczcie w monopolach i przedsiębiorstwach państwowych, aby mógł istnieć u nas najkrótszy na świecie czas pracy, aby rządy mogły odgrywać rolę „dobroczyńców warstwy robotniczej" i spełniać wszelkie jej żądania w zakresie płac itd., itd.

Zamiast się zastanawiać, czy autor tych zdań, które pozwoliliśmy sobie przytoczyć, ma poczucie — humoru, przewróćmy numer „Prawdy" i zajrzyjmy do artykuliku „Syndykaty", umieszczonego na ostatniej stronicy. Jest to właściwie list do Redakcji, wysłany przez firmę „R. Jaworski i Synowie — „Kraj" — Wyrób maszyn, odlewnia żelaza i metali w Stanisławowie". Firma, dotknięta do żywego faktem, że jej dostawca liczył doniedawna po 1,55 2,00 zł. za 1 kg. odlewów, obecnie zaś ceny te via Syndykat Polskich Odlewni Stali wynoszą 2,63 — 3,68 zł., pisze, co następuje:

„Nie mamy nic przeciw utworzeniu Syndykatu odlewni stalowych, gotowi jesteśmy nawet pogodzić się z pewną drobną zwyżką ceny, na opłacenie kosztów administracyjnych Syndykatu — gotowi jesteśmy także pogodzić się z pozbawieniem nas prawa wyboru odlewni, której chcemy powierzyć nasze zamówienie — ale nie możemy pogodzić się ze stuprocentową podwyżką cen w czasie, gdy obniża się płace robotników, gdy każdy zmuszony jest ograniczać swoje potrzeby i wydatki, gdy przemysłowiec musi nieraz ze stratą pracować, aby tylko utrzymać swój warsztat w ruchu i pójść na rękę klijenteli. W takich czasach nie wolno tworzyć syndykatów, których pierwszym krokiem jest podnoszenie ceny i biurokratyzowanie stosunku pomiędzy nabywcą a dostawcą.

„Przy obniżonych płacach, przy niższych cenach surowca, a przy niezmienionych świadczeniach państwowych i socjalnych podwyżka cen o prawie sto procent jest czemś tak horendalnem, że poprostu pojąć tego nie można.

„Mimowoli nasuwa się pytanie, kto i kiedy określał i zatwierdzał te ceny. A z drugiej strony, mimo pełnego zrozumienia konieczności tworzenia się karteli przemysłowych w obecnych warunkach — rodzi się wątpliwość, czy aby instytucja karteli, mająca chronić przemysł przed załamaniem się pod ciężarem nałożonych nań świadczeń i ograniczeń, nie jest w licznych przypadkach nadużywana w celach uprawiania zdzierstwa".

S p r o s t o w a n i e: W artykule pt. „Ewolucja zagadnienia tezauryzacji", umieszczonym w Nr. 19 „Gospodarki Narodowej", na str. 263, w wierszu 11-ym powinno być: „Inną jest fizjognomja tezauryzacji w dobie deflacji" — zamiast pomyłkowo wydrukowanego „.... w dobie inflacji"; wiersz 52. powinno być; „ubytek każdego dolara ze skarbca Banku Polskiego", zamiast mylnie wydrukowanego „...ze skarbu Polskiego".

BIEDA — SZYBY.

Autor niniejszego miał możność obejrzenia ciekawego zjawiska w górnictwie, które rozwinęło się na tle kryzysu t. zw. bieda szybów. Poszczególne słowa tej nazwy są jasne, wiemy dobrze co to jest szyb, a co bieda — to wiemy jeszcze lepiej; wszelako całość wymaga wyjaśnienia. Otóż bieda-szyby są to małe szybiki o średnicy 1 — 1½ metra i głębokości 8, 10 a czasami nawet 20 metrów. Szyby te wybijane są na polach, gdzie węgiel leży płytko (2—3 metrów pod powierzchnią) jest przeto łatwo dostępny acz nieobfity (warstwa węgla jest kilku — rzadko kilkunastometrowej grubości) i wskutek bliskiej styczności z powierzchnią w pewnym stopniu zwietrzały tj. mający mniejszą kaloryczność.

Węgiel ten nie przedstawiał dla żadnej kopalni przedmiotu eksploatacyjnego, to też pola stały nieruszane i dopiero w ostatnich czasach zaroiły się. Ruszyli na nie bezrobotni górnicy, powybijali szyby, ostemplowali, poustawiali nad otworami szybików zwyczajne drewniane kołowroty i blaszanemi kubłami wyciągają węgiel. Słowem zaczęła się „eksploatacja". Ostatnie informacje podawały mi cyfrę około 10.000 ludzi zajętych wydobywaniem węgla kilku szybach.

Mógłby ten temat stanowić dla prawnika interesujące zagadnienie faktu eksploatacji bez nadania górniczego, na polu stanowiącem cudzą własność, kwestję czy należałoby skarżyć o lucrum cessans czy damnum emergens. Mógłby ten temat dla polityka i społecznika być jeszcze ciekawszy: czy wogóle należałoby skarżyć. Dla ekonomisty jednak najbardziej interesującą jest zdolność konkurencyjna tych szybików. Otóż węgiel z tych szybików sprzedawany jest w Katowicach po 15 zł. za tonę, podczas, gdy węgiel kopalniany po 42 zł. uwzględniając nawet gorszą kaloryczność bieda szybów, różnica cen aż nazbyt widoczna. To też węgiel z bieda szybów zaczął się rozchodzić coraz bardziej, coraz dalej. Sprzedawany był nietylko w Katowicach, ale docierał koleją do Częstochowy, samochodami do Krakowa. Stał się konkurentem wielkiego przemysłu.

Nie on jeden. We wschodnich województwach węgiel jest prawie zupełnie wyparty przez drzewo, w okolicach, gdzie istnieje torf, to pali się torfem zamiast węgla. Rynek dla węgla kopalnianego się kurczy. Co może go uratować? Napewno nie podwyżka cen.

p. g.

PORCELANOWE JASKÓŁKI

Nie wiemy, czy oficjalne badania konjunktury uwzględniają — przy opracowaniu wskaźników produkcji, konsumcji, ożywienia, depresji i t. d. i t. d.— artykuły... porcelanowe. Przypuszczać należy, że tego nie czynią, ograniczając się w zasadzie do wyrobów hutniczych, wydobycia węgla i t. p. Sądzić wypada, iż tak jest najlepiej, najwłaściwiej, najbardziej naukowo.

Jeżeli jednak laik weźmie do ręki „Wiadomości Statystyczne" (zeszyt 22 z b. r.), to na str. 428 w tablicze zatytułowanej: „Produkcja niektórych artykułów przemysłu mineralnego" znajdzie dane, które go zaintrygują. Okaże się bowiem że o ile przeciętna miesięczna sprzedaży porcelany i fajansu stołowego w latach 1929 — 1931 stale była niższa od przeciętnej miesięcznej produkcji, to w maju r. b. stosunek się odwrócił, coby dowodziło, że ludzie zaczynają pieniądze lokować nietylko w siennikach, skrytkach i złotych rublach, lecz również w kruchej porcelanie. Zapewne przewyżka sprzedaży nad produkcją wynika z bardzo niskiego poziomu tej ostatniej; tem niemniej jest faktem, że sprzedaż takiego np. fajansu w maju b. r. była (ilościowo) wyższa od przeciętnej sprzedaży w r. ub.

Coprawda: jedna jaskółka nie czyni wiosny. Nawet porcelanowa. Ale kto wie?...

b.

CZTERY FILARY 26-ej LOTERJI PAŃSTWOWEJ

Dwudziesta szósta Polska Loterja Klasowa, której ciągnienie w pierwszej klasie rozpocznie się dnia 17 listopada b. r., została pod względem planu gry w stosunku do poprzednich zasadniczo zreformowana. Nowy plan gry opiera się na czterech nowych zasadach, jakby na czterech filarach.

Przedewszystkiem powiększona została ilość dni ciągnienia w czterech pierwszych klasach. W poprzednim planie wynosiła ona w klasach od pierwszej do czwartej dwa dni, a teraz wynosi pięć dni. To powiększenie ilości dni ciągnień jest niewątpliwie wielką atrakcją dla grającego, przyczem ilość dni ciągnień w piątej klasie pozostała niezmieniona i wynosi nadal 27.

Powiększenie ilości dni ciągnień pozostaje w ścisłym związku z nowym rozdziałem ogólnej sumy wygranych i wzrostem atrakcji, dla grających we wszystkich klasach. W poprzednim planie suma wygranych w pierwszych czterech klasach wynosiła $^1/_7$ ogólnej sumy wygranych, teraz wynosi około $^1/_2$. Znaczy to, że szanse wygrania w czterech pierwszych klasach wzrosły jak 7 do 2 czyli trzy i pół raza.

Nie odbyło się to kosztem dotychczasowej siły przyciągającej grających w V-ej klasie. Przeciwnie, przy podnoszeniu atrakcyjności dla grających czterech pierwszych klas, podniesiono także atrakcyjność klasy piątej, gdy poprzednio główna wygrana w piątej klasie wynosiła 300.000 zł., obecnie wynosi pełny miljon, co nie przeszkodziło podnieść główne wygrane, we wszystkich innych klasach, mianowicie w pierwszej na 100.000, w drugiej na 150 tys., w trzeciej na 200 tys., a w czwartej na 250 tys. Tak samo w dalszym ciągu przy ustanowieniu w piątej klasie jednej wygranej 300. tys. zł., jednej 150 tys., jednej 100 tys., dwóch po 75 tys., czterech po 50 tys. i 8 po 20 tys., — podniesiono wielokrotnie ilość innych większych wygranych w czterech pierwszych klasach. Np. wygrana 15 tys. padała w każdej z czterech pierwszych klas tylko na jeden los, teraz w pierwszej klasie 15 tys. zł. wygrywają dwa losy, w drugiej — 4, w trzeciej — 5, w czwartej — 6. Ilość innych wygranych również odpowiednio powiększono.

Ale może największą atrakcją nowego planu gry są t. zw. stawki. Z natury rzeczy najwięcej ludzi wygrywa stawki, bo tych jest w kole najwięcej. Otóż dotychczas stawka nie dawała wygrywającemu żadnej efektywnej wygranej. Stawkę mógł on jedynie zamienić na los do następnej klasy. Obecnie stawka jest w rzeczywistości stawką tylko w klasie V-ej (250 zł. po potrąceniu 20 proc. na Skarb i kolektora wynosi 200 zł. — to jest cenę losu do pięciu

klas). We wszystkich innych klasach stawka daje realną wygraną wygrywającemu, a wygrywających stawki jest przecież olbrzymia rzesza. Mianowicie w klasie I — IV stawka wynosi tyle, że nietylko zwraca wygrywającemu cenę losu do danej klasy, ale pozostawia czystą nadwyżkę, odpowiadającą cenie losu do klasy następnej. Na przykładzie przedstawia się to obecnie w porównaniu do tego, jak było przedtem, tak: dawniej grający wygrał stawkę na posiadaną ćwiartkę losu w trzeciej klasie 40 zł. Ćwiartki w I, II i III kl. kosztowały go po 10 zł., razem 30 zł., więc wygrywał na czysto 10 zł., ale gdy chciał grać w IV klasie musiał za ćwiartkę zapłacić 40 złotych, więc nic mu nie zostawało. Teraz gdy wygra w III kl. 40 zł., ćwiartka do IV kl. kosztuje go znowu tylko 10 zł. i na czysto pozostaje mu w kieszeni 30 zł. W związku z tem numery wygrywające stawki, wracają do koła. Do tego należy dodać, że ilość stawek wygrywających w czterech pierwszych klasach, nietylko nie została zmniejszona, ale przeciwnie została powiększona z 13.200 dawniej na 22.171 obecnie.
Wszystko to dowodzi, że reforma, przeprowadzona w nowym planie gry, jest dokonana z wielką korzyścią dla graczy, szczególniej dla grających we wszystkich pięciu klasach, przy szczególnem uwzględnieniu interesów wygrywających tylko stawki, przyczem atrakcyjność wielkich wygranych w piątej klasie została nietylko utrzymana, ale wielokrotnie powiększona.
Do wygranych dołączają się jeszcze premje, które we wszystkich pięciu klasach razem wynoszą 660 tys. zł.

Redaktor odpowiedzialny KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI Sekretarz Redakcji: ZOFJA CIECHOMSKA

RĘKOPISÓW NADESŁANYCH REDAKCJA NIE ZWRACA.

REDAKTOR PRZYJMUJE WE WTORKI I PIĄTKI OD 17 DO 18.

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: CHMIELNA 23 M. 6 TEL. 727-99. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. „Nowogrodzka", Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.